

R E L A C J A

p. Henryka MESZCZYŃSKIEGO

nagrana w styczniu 1991 r.

przez Tomasza Gleba

 ARCHIWUM WSKODNIE

Urodziłem się w 1912 roku we wsi Wigry powiat ^{Sławno} Sławno. W 1914 roku front przechodził przez okolice tej wsi, ojciec był ranny. Całą rodzinę ewakuowali w głąb Rosji, matkę oddzielnie z trojgiem dzieci i ojca oddzielnie. My z matką trafiliśmy do Petersburga, ojciec odnalazł nas po pół roku - przypadkiem spotkał matkę w sklepie. Tam chodziłem do wstępnej szkoły.

Znałem Ruskich jeszcze z czasów rewolucji, kiedy mieszkałem z rodzicami w Petersburgu. Działy się tam niestworzone rzeczy, jakich żaden myślący człowiek by nie zrobił. Kiedy na przykład Kronszadt nie poddał się i ostrzeliwano stamtąd z ciężkiej, fortecznej artylerii Petersburg, a potem w zimie Trocki zdobył go szturmem po lodzie - wyrabali marynarzy kronsztańskich wszystkich, co do jednego. Czy to u nas byłoby do pomyślenia?

Było nas w rodzinie 5 osób, starszy brat był chory na gruźlicę. Wyżywienie dawano na kartki, chodziłem po to jedzenie z wiaderkiem. Brałem dla nas wszystkich. W drodze powrotnej zjadałem wszystko, co dostałem. Nikt tego nie mógł jeść a ja jadłem.

Starszy brat był konający. Ktoś powiedział, że może go wyleczyć pewien chiński lekarz. Nieśliśmy go na noszach przez dwie ulice. Ludzie w kolejce wpuscili nas po godzinie. Chińczyk wziął 10 rubli w złocie za poradę, wypisał receptę po chińsku i w chińskiej aptece według jego wskazówek wydano nam leki. Do dzisiaj brat żyje.

Do miejsca zamieszkania wróciliśmy w 1921 roku, mam kartę ewakuacyjną z tego czasu. Zaczęliśmy chodzić ze starszym bratem /najmłodszy zmarł w Petersburgu/ do polskiej szkoły w Suwałkach. Maturę otrzymałem w Suwałkach w 1930 roku. W 1931 roku byłem w podchorążówce w Grodnie, miałem tam dobrą lokatę i po jakichś ćwiczeniach otrzymałem stopień podporucznika. Później studiowałem na politechnice w Warszawie. Pracowałem w Dyrekcji Okręgowej Kolei w Wilnie.

W 1939 roku miałem przydział do KOP-u na granicy litewskiej. Tam organizował się rezerwowy 134 -ty Pułk. Byłem dowódcą kompanii w I-wszym batalionie, z tym pułkiem przeszedłem całą kampanię wrześniową. Byłem ranny pod Włodawą.

Po wkroczeniu Rosjan z jednej strony naszej jednostki byli Niemcy, a z drugiej Rosjanie. Mieliśmy wymianę ognia z Ruskimi. Dowódca pułku wrócił z odprawy z dowódcy Armii "Kraków" i powiedział, że musimy kapitulować. Było

to 29 września. Odbyło się głosowanie, komu mamy się poddać - Niemcom czy Rosjanom. Ponieważ wszyscy oficerowie byli poznaniakami, głosowali, żeby poddać się Rosjanom. Ja z jeszcze jednym oficerem zawodowym powiedzieliśmy, że wstrzymujemy się od głosu. Dowódca pułku spytał, czy to godne honoru oficera polskiego:

- Co pan będzie robił?

- Zostanę w kraju, między krewnymi, nie dam się wziąć do niewoli.

- To niegodne honoru oficera polskiego.

Odpowiedziałem, że jeśli wyda mi rozkaz poddania się, to ja ten rozkaz wypełnię. Ale był tam jakiś zabiakany pułkownik ze sztabu, który jako starszy stopniem zabronił wydania mi tego rozkazu. Ja z tym oficerem, który też wstrzymał się od głosu zostałem, reszta z białymi chorągiewkami pojechała do Rosjan. Było to w Roztoczu lubelsko-tomaszowskim. Oficerowie odjechali konno, a ja podszedłem do znajomego oficera i powiedziałem, że nie mam dobrego Visa, a on z dobrym Visem idzie do niewoli, niech mi odda. On zdjął go i rzucił. Wtedy wszyscy zaczęli rzucać broń na ziemię aż

pułkownik zdenerwował się: "Jak to, będziemy kapitulować bez broni!?"

Rozbroiłem swoją kompanię - to znaczy wysadziłem w powietrze całą broń i amunicję, jak również jaszcz artyleryjski z pociskami. Nagle rozległ się strzał.

- Kto strzelał?

- Ja - i wychodzi kucharz kompanijny - nowy karabinek, a ja ani razu nie wystrzeliłem...

Podzieliłem kompanię na grupy według miejsc zamieszkania. Miałem dużą szkolną mapę, oddzieliłem odpowiednie kawałki poszczególnym grupom i powiedziałem, żeby trzymali się z dala od osiedli, wracali do domów i czekali. Wszyscy rozeszli się, a ja z tym jednym oficerem ruszyliśmy do Wilna. Miałem legitymację kolejową na przejazd I-wszą klasą, a myślałem, że koleje jeszcze chodzą. To była iluzja.

Doszliśmy do rzeczki Sopot, dopływu Sanu, było to po trzech dniach marszu. Musiałem wspierać się na kiju, byłem przecież ranny w nogę. Na rzece był w tym miejscu most, a za mostem po drugiej stronie stała sowiecka kolumna pancerna, płonęły ogniska. Wartownik zauważył nas, byliśmy jeszcze w polskich mundurach. Telefonicznie zawiadzał dwóch konnych, którzy podjechali do nas. Jeden chciał nas zrewidować, zsiadł z konia a karabin powiesił przy siodle. Miałem dwa pistolety - oddałem dwa strzały do tego, który siedział na koniu. Koń poniósł, a drugi Rosjanin uniósł ręce do góry.

Był już zmrok. Obok był cmentarz, podczołgaliśmy się tam aż pod samą rzeczkę i leżeliśmy w bagienku. Tego, który się poddał puściliśmy. Pobiegł na most, zrobił alarm. Zaczęli nas szukać - świecili reflektorami, wydawało się, że prosto na nas, ale nas nie zauważyli. Zaprzestali poszukiwań, przeczekaliśmy parę godzin, aż się uspokoiło. Rozebraliśmy się, ten oficer nie umiał pływać, ale był na szczęście małego wzrostu, przeniosłem go przez rzeczkę. Po drugiej stronie był jar, tam ubraliśmy się i usiedliśmy, żeby zapalić papierosa. Zapadła już noc. Nagle usłyszeliśmy stukot kopyt końskich. Patrzymy - biały koń. Obok konia - nikogo. Nagle słyszemy: "Stój!" - i

z krzaków wychodzi mężczyzna.

- Co pan tutaj robi?

- Niemcy zabrali moje konie, więc ja cały dzień polowałem i ukradłem Rosjanom .

- Gdzie pan mieszka?

- Stąd dwa kilometry.

Poszliśmy do jego domu i tam pierwszy raz od dwóch tygodni wykapałem się. Po dwóch dniach ten człowiek jechał do Chełma, miał tam rodzinę. Zabrał nas. Były różne perypetie po drodze, zatrzymywali nas Rosjanie, Ukraińcy, Żydzi. Każdy chciał rozstrzelać. Ale trzeba przyznać, że uratowali nas żołnierze Armii Czerwonej - NKWD chciało nas rozstrzelać jako oficerów, a właśnie przejeżdżał patrol kozacki /myśmy pozrywali już wcześniej dystynkcje oficerskie/ i kazał nas wypuścić.

W Chełmie, ^{na terenie} domku, gdzie mieszkała rodzina tego człowieka mieścił się teraz sztab sowiecki. Jednak my ogrodami przedarliśmy się do tego domku i tam zmieniliśmy mundury na ubrania cywilne. Mój towarzysz założył czapkę sztubacką, a ja kolejarską i ruszyliśmy w stronę Drohuska, gdzie było przejście przez Bug. Szliśmy drogą. Dopędziła nas kolumna sowieckich ciężarówek. Major sowiecki zapytał mnie, czy znam drogę. Odpowiedziałem, że znam. Kazał mi wejść do szoferki. To były ciężarówki, którymi wieziono polskich oficerów, jeńców. Mojego towarzysza wsadzono na platformę /straszenie się przestraszył, że trafił do jeńców, oficerów/ a ja siedziałem w szoferce. Major NKWD poczęstował mnie spirytusem, myślał, że mam zakąskę.

Podrzucili nas kawałek drogi, dalej szliśmy pieszo. Doszliśmy do Buga, padał straszny deszcz. Bolszewicy kończyli budowę drewnianego mostu, bo nasz most był zniszczony. Przed mostem stała masa transportów, bo Rosjanie w myśl umowy musieli te tereny oddać Niemcom i chcieli jak najwięcej rzeczy z nich wywieźć. Rabowali wszystko co się dało: maszyny do szycia, rowery...

Miała się odbyć próba mostu. Stała już przygotowana lokomotywa. Podszedłem do dowódcy i spytałem, czy możemy przekroczyć Bug. Odpowiedział:

- Ty kolejarz, to tobie należy się ryzykować.

I przejechaliśmy ten most, a potem pieszo doszliśmy do Równego. W Równem była masa uciekinierów, którzy chcieli przejść Bug w drugą stronę, do Niemców. Spotkałem tam znajomego, który sprzedawał zegarek, "bo żona rodzi". Miałem wtedy pieniądze, bo dostaliśmy odprawę i podzieliliśmy kasę oddziału - dałem mu 500 złotych.

Uczepiliśmy się budki hamulcowej w jakimś pociągu i dojechaliśmy do Dowgunowa, na północny-wschód od Równego. Tam pociągi już lepiej chodziły, nie było takich zniszczeń. Dojechaliśmy do Lidy, a potem do Wilna, ale nie na dworzec, wysiedliśmy wcześniej. Trafiłem do swojego dawnego mieszkania. Okazało się, że mieszkanie zlikwidowała moja znajoma. U niej po raz pierwszy od ponad dwóch tygodni zmieniłem opatrunek na zranionej nodze. Rana goiła się dobrze, odłamek, który tkwił w kości przesunął się pod skórę.

Władze litewskie zaczęły gnębić Polaków. Stworzyliśmy polską organizację - Pierwszy Okręg Wileński. Tam złożyłem przysięgę. W konspiracji działałem od 1939 roku do 1943 roku. Byłem kurierem, przekraczałem granicę 44 razy.

Jedna granica była w Baranach a druga w Małkini, okręg białostocki trzeba było omijać. Znałem wszystkie trasy, bo przed wojną pracowałem jako kontroler ruchu. Najczęściej jeździłem do Warszawy, woziłem w obie strony meldunki i pieniądze.

Pamiętam taki moment - wiozłem 200 złotych 10-rubłówek w dwóch rulonach, które dostałem w Warszawie. Jeszcze w Warszawie spotkałem znajomego. Pytał dokąd jadę.

- Do Wilna.

- Do Wilna? To niech pan mnie zabierze.

- Jak to zabrać?

- Chcę się dostać do Wilna. Mnie tu Niemcy prześladują.

Był to inżynier, który m.in. zbudował baterię na Helu.

Pojechaliśmy, był to 1943 rok. Wysiedliśmy w Małkini, ja w kombinezonie kolejarskim, z młoteczką, że niby ostukuję tory. Granica była 5 km od Małkini, pociąg mijał ją w pełnym biegu. Kontrola odbywała się przy budce kontrolnej w Małkini. Poszedłem do parowozowni i umówiłem się z maszynistą pociągu, który jechał do Wilna, że koło budki puści parę z lokomotywy i my pod jej osłoną wskoczymy do pociągu. To był stary, kolejarski sposób.

Weszliśmy z tym znajomym inżynierem do budki zastawczej koło torów.

Była już noc. Nagle - reflektor, obława z psami. Pytam się go, jakie ma dokumenty.

- Byle jakie. Ale nie dam się złapać.

I schował się pod duże taczki, które stały niedaleko budki, bo były tam prowadzone jakieś torowe roboty. Ja byłem schowany pod ścianą budki. Niemcy spuścili psy. Patrzą-wyciągają go spod taczek /było to ok. 20 m ode mnie/ i prowadzą do budki, za którą jestem schowany. Reflektory świecą z tamtej strony, ja siedzę w cieniu. Budka była ocieplana trocinami, więc pcham dwa rulony rąbli w te trociny, żeby nie dostały się Niemcom. Podbiegł do mnie pies, wyciągnąłem pistolet i wcelowałem w niego. Pies ani razu nie szczeknął, odwrócił się i pobiegł z powrotem.

Temu człowiekowi przeprowadzają w budce rewizję, a ja patrzę przez okienko. I wtedy jedzie umówiony pociąg i maszynista puszcza parę, jak było umówione. Z przeciwnej strony również nadjeżdża pociąg, Niemcy wyskakują z budki. I ten inżynier, Berger Marian również wyskoczył i uczepił się przejeżdżającego pociągu, a ja zostałem, nie wiedząc, że się uratowałem. Było umówione w Białymstoku mieszkanie, gdzie mieliśmy się spotkać, gdyby nas podczas drogi rozłączono. Na drugi dzień przyjechałem do tego mieszkania /w Małkini musiałem znów iść do parowozowni i umówić się/ i właściciel mieszkania, Żukowski pyta mnie się, dlaczego jestem taki zmartwiony. Odpowiadam, że wiozłem człowieka i zabrali go Niemcy, wtedy Berger wychodzi z drugiego pokoju i mówi: "Widzisz, ja jestem".

Potem pracowałem w komendzie dywersji. Wykonaliśmy zamach, kilka wyroków. Zamach był na oficera-lotnika, którego nawet dobrze znałem przed wojną, a który pracował w gestapo. Moim

dowódcą był wtedy Boryczka Adam - "Tońko". Tońko wykonywał wtedy wyrok na Wyleżyńską, córkę profesora konserwatorium, która współpracowała z gestapo. Była wtedy już trzeci raz strzelana, mówiła: "Mnie kule nie biorą." Dopiero za trzecim razem ją... Wykonywał wyrok beze mnie, ale ja przypadkiem byłem w tamtym miejscu i widzę - idzie. On się u mnie stołował i mieszkał. Był cichociemnym i po przybyciu z Anglii u mnie się aklimatyzował. Wyrok wykonywał z jeszcze jednym człowiekiem i po przypadkowym spotkaniu wszyscy trzej poszliśmy do mnie do domu. Po drodze poprosili mnie jeszcze, żebym poczekał i przebrali się z kombinezonów w marynarki. Przyszliśmy do mnie na ulicę Bankową, zaczęliśmy jeść obiad. Drzwi w tym mieszkaniu były opancerzone, gdyż odbywały się tam zebrania, stąd chodziliśmy na forty.

Akurat przywieziono mi furmanką węgiel, więc wyszedłem do tego człowieka, który przywiózł i powiedziałem, żeby nosił węgiel do mieszkania, a ja drzwi zostawię otwarte. Jemy dalej obiad - wchodzi dwóch gestapowców. Przejeżdżali samochodem, zobaczyli, że stoi fura węgla, drzwi były otwarte - z ciekawości weszli, przypadkowo. Kierowca został w samochodzie, do mieszkania wszedł cywil i mundurowy. Zaczęli rewizję.

Poprzedniego dnia z pociągu zabraliśmy z pomocą kolejarzy trzy walizki automatów. Cywil chodzi ze mną po mieszkaniu, pyta: "Co jest w tych walizkach?" Odpowiadam, że mam sklep i to jest towar. Każe otworzyć walizy. Mówię, że mam klucze w marynarce, w pokoju stołowym, wchodzę tam, Boryczka i drugi kolega stoją w kącie. "Adam, musimy zaczynać" - mówię, myśląc, że mają broń, bo przecież przed chwilą strzelali do Wyleżyńskiej. Adam kiwa głową, że broni nie mają, zostawili tam, gdzie się przebierali.

Klucze od walizek trzymam już w ręku, a swoją broń mam zamkniętą w szafie, właśnie w tym pokoju, gdzie stoją walizki. Idę tam, otwieram szafę i wyjmuję pistolet, a cywil podchodzi do mundurowego gestapowca i mówi, że tu jest jakaś niejasna sprawa.

W tym czasie była w domu jeszcze moja żona z dzieckiem i służąca. Mówię do służącej: "Zabierz dziecko i uciekaj na sąsiednią ulicę, do krewnych". Była boso, froterowała właśnie parkiet. Wzięła dziecko na rękę, wybiegliśmy razem na klatkę schodową, ale ona po chwili wróciła z powrotem do mieszkania. Zacząłem do niej krzyczeć, żeby uciekała, ale w tym momencie gestapowiec zatrzasnął drzwi i zostałem sam na klatce schodowej. Widział, że trzymam pistolet w ręku i bał się.

Nie mogę otworzyć drzwi z zewnątrz, a wiem, że zaraz przyjadą koledzy odebrać walizki z bronią. Była właśnie godzina trzecia, umówiona godzina na transport. Wpadłem do wypalonego, stojącego naprzeciw domu i czekam. Kierowca gestapowskiego samochodu odjechał i za chwilę - gestapo było blisko - zaroilo się od gestapowców. A w mieszkaniu tych dwóch gestapowców pilnowało cały czas żony i dwóch kolegów. Kazali im położyć się na podłodze. Adam, szkolony do takich sytuacji, zerwał się i chwycił jednego z Niemców za gardło. Niemiec raz wystrzelił, trafił Adama w rękę, wystrzelił drugi raz - spudłował. Trzeci raz wystrzelić nie mógł, bo w zwarciu łuska nie wyskoczyła z pistoletu, ale wpadła z powrotem do komory naboju i pistolet był zablokowany. Adam zadusił tego Niemca, drugi Niemiec uciekł do najdalszego, piątego pokoju i nie pokazywał się. Odblokowali pistolet -

Adam i drugi kolega - i wyszli z moją żoną kuchennymi drzwiami. Żona złapała wózek. Gestapowcy szli już z jednej i z drugiej strony, była ich masa, przyjechali dwoma samochodami. Przepuścili żonę z wózkiem, przepuścili też Adama - szedł w jasnej marynarce jak pijany, w rzeczywistości ledwie się poruszał. Drugiego kolegę, który go ubezpieczał, złapali. Adam zszedł schodami na dół, dalej iść nie mógł. Zobaczył na wizytówce polskie nazwisko, zadzwonił do drzwi i stracił przytomność. Wciągnięto go do mieszkania, zmieniono marynarkę, zawołano dorożkę, wsadzili go do dorożki, a dorożkowi kazano jechać pod adres wpisany w dokumentach. Ocknął się daleko od mojego domu, wysiadł, przesiadł się do innej i pojechał na melinę. A chłopcy z transportu nie zgłosili się po walizki, widzieli obławę, conęli się.

Poszedłem na melinę, gdzie dostałem dodatkowy magazynek do pistoletu i tysiąc marek. Wychodzę, schodzę po schodach - spotykam tego gestapowca, cywila, który był w moim mieszkaniu i się uratował. Poznał mnie, wkłada rękę do kieszeni, wtedy ja wyciągam pistolet. Wiedział, że nie ma żartów, wyskoczyłem na ulicę.

Na drugi dzień były na mieście plakaty z moim zdjęciem, które znaleźli w mieszkaniu, że taki a taki - bolszewik, obiecywali 10.000 marek za wskazanie mnie.'

Pojechałem do Warszawy, bo mieli do mnie przyjeżdżać stamtąd kurierzy, a było wiadomo, że w mieszkaniu siedzą Niemcy. W mieszkaniu stała

maszyna do szyfrowania, gdyż jeszcze w dniu tej awantury szyfrowałem sprawozdanie do Warszawy. W ^{Warszawie} powiedziałem, żeby nikt do tego mieszkania nie przyjeżdżał i wróciłem do Wilna, gdzie dowiedziałem się, że Tońko żyje i lepiej się czuje. Poszedłem do niego - zdecydowaliśmy się iść do lasu. Wpadka na ul. Bankowej była 7 lipca 1943 roku, a 30 lipca tego roku byłem już w lesie.

Pod dowództwem Tońka powstał nowy oddział z zadaniem zniszczenia mostu kolejowego na rzece, której nazwy nie pamiętam. Było nas 15-tu, później dochodzili kolejni, spaleni w Wilnie. Były różne perypetie - nakryto nas w Puszczy Rudnickiej z samolotu, była strzelanina, mieliśmy dwóch zabitych, paru rannych, ale już oddział okrzepł. Na Wszystkich Świętych było nas już 30-tu, oddział nie miał prawa zwiększać stanu liczebnego, wymagało to pozwolenia.

Po rozbrojeniu i aresztowaniu wszystkich dowódców 17 lipca 1944 roku przez Sowietów, poszliśmy do Puszczy Ruskiej. Tam prześladowali nas Rosjanie, byłem ranny w staw skokowy i na tym moja walka się skończyła, leżałem w szpitalu Czerwonego Krzyża w Wilnie. Długo by opowiadać o drodze do Wilna - Rosjanie na każdym kroku, ale wszystko dobrze się skończyło.

Leżałem potem z nogą w gipsie na melinie w Wilnie. Któregoś dnia przyszli bolszewicy, zwołali łżej rannych. Poszukiwali ludzi, których nazwiska mieli na kartce. Było tam i moje nazwisko, ale ja leżałem już pod nazwiskiem zmienionym. Nazywałem się już wtedy Szumski. Zabrali dwóch chłopałów

Na drugi dzień przyszedł odwiedzić mnie Tońko. Siedzi na moim łóżku i rozmawiamy, że trzeba mnie stamtąd zabrać - wchodzi znów bolszewicy. Leżał tam rotmistrz, jeszcze z wojny polsko-sowieckiej, konający. Nie należał do AK, ale miał wiele odznaczeń właśnie z wojny 1920 roku, a także odznaczenia francuskie, japońskie i inne. Przyszli po jego odznaczenia. Szukali także dwóch jego synów, ale nie znaleźli.

Trzy razy zmieniałem meliny, na czwartej aresztowano mnie. Leżałem na sali, gdzie byli sami partyzanci. Weszło dwóch enkawudzistów - w białych fartuchach, ale spodnie wojskowe, podeszli do mnie:

- Zdrastwuj Dziewic.

Znali nawet mój pseudonim. Było to dwóch majorów NKWD. W mieszkaniu tym odbywały się tajne komplety żeńskie. Zaczęli robić rewizję - a mój pistolet leżał w szufladzie obok - ale co chwila musieli otwierać drzwi dziewczętom schodzącym się na komplety. Jeden z nich już nawet odsunął szufladę z pistoletem, ale nie zauważył go, bo ktoś znów zadzwonił do drzwi i musiał pójść otworzyć. Spytałem dziewczyny, która była w mieszkaniu, czy robili już rewizję w kuchni.

- Jeszcze nie.

- Trudno, weź z szuflady pistolet i schowaj go gdzieś w kuchni, bo tu go za chwilę znajdą.

Wrzuciła pistolet do fartuszka, wybiegła do kuchni, wróciła:

- Panie, czy nie wybuchnie? Bo gotuje się tam garnek barszczu i ja w ten

barszcz wrzuciłam....

- Nie wybuchnie, ale barszcz będzie niedobry.

Miałem też jeszcze ze Lwowa sygnet i ryngraf syna. Pokazałem to dziewczynom, które siedziały na podłodze. Jedna dziewczyna, Lila, schowała te rzeczy pod obrus. Po dwunastu latach wróciłem i dostałem je z powrotem.

Zabrali mnie do domu, w którym kiedyś mieszkał dyrektor kolei-Głazek. Była to wigilia 1944 roku. Ja ten dom przed wojną przebudowywałem, robiłem tam podziemne schrony przeciwgazowe. I właśnie w jednym z tych schronów mnie zamknęli. Oddychać nie było czym, po ścianach ściekała skroplona para naszych oddechów. Było nas w takiej klitce ze 20-tu.

Na śledztwie wmawiali we mnie, że jestem Łupaszka. Zebrało się ze 30-tu śledczych, posadzili mnie na dębowym, rzeźbionym fotelu z wysokim oparciem.

- Ty Łupaszko - każdy z nich ma zdjęcie i każdy po kolei uderza. I tak przez całą noc.

Rano otwierają celę, a tam tak pełno, że nie można wejść, wpychają mnie nogami. Pyta się ktoś:

- Kto ty? - a poznają po głosie, że to ktoś z naszych.

- "Dziewic" - odpowiadam.

- Dawajcie go tutaj, do nas. - i po głowach podali mnie pod okno.

Na podłodze było ok. 5 cm wody, która powstała ze skroplonych oddechów.

Ta woda pogogła mi odzyskać przytomność. Akowców siedziało tam wielu, około 50-ciu, ale nie wszyscy z naszej brygady. Z mojej kompanii siedziało 10-ciu. Myśleli, że mnie tym uratują, mówili, że byłem kurierem, że praco-

wałem w wywiadzie. Ja się do tego nie przyznawałem, wiedziałem, że właśnie na takich ludziach zależy NKWD.

Byłem pierwszym oficerem, ^{niemcy z KGB} Drugim był staruszek, z którym zrobili mi konfrontację. Mówię, że go nie znam, a on na to : "Panie Henryku, niech pan się nie wypiera, bo ja już wszystko powiedziałem." Wtedy dostaję od enkawudzisty raz, drugi, trzeci...

Był taki moment: wołają mnie na śledztwo i mówią:

- Ty znasz polski, litewski, rosyjski i niemiecki - w jakim języku chcesz odpowiadać?

I obracają mnie w stronę szafy, a tam - gumowe pałki: polskie, litewskie, niemieckie. Rosyjskich nie ma.

- Po rosyjsku.

Na to stuka w ścianę:

- Waśka, u ciebie ruskij jazyk swobodnyj? - a tam wrzask był.

I wpada taki bez munduru z drewnianą pałą, gdzie tylko rączka była obstrugana. Zwalił mnie z nóg /byłem przecież o kulach/ i zaczął tłuc, a ja liczyłem. Za 17-tym razem straciłem przytomność. A śledczy mówił:

- Ty nie masz serca, zobacz jak mi serce bije, jak mi ciebie żal!

Nazwisko jednego ze śledczych - Merson, ^{żył} major. On najbardziej mnie katował.

Wiedzieli, że kurierką jest dziewczyna o imieniu Baśka, więc o nią pytali. Po nowym roku przywożą dziewczynkę, tej Basi siostrę. To była rodzi-
na kapitana Baranowskiego. To była 14-letnia dziewczynka, znałem ją, bo mnie wiozła, kiedy byłem ranny.

- To wasza Baśka!

Odpowiadam, że to nie ona. Biją i ją i mnie, do krwi.

- Ty bładź, pierwszy raz prawdu skazał, szto eto nie Baška. Ale ty, bładź
znaasz, szto eto Baranowska!

Ktoś już im musiał o tym powiedzieć.

- Kogo znasz z partyzantki?

- W mojej kompanii było 200 ludzi, jak mogłem wszystkich pamiętać?

Żądali pseudonimów. Mówiłem im o tych, którzy zginęli, opisywałem, jak
wyglądali itd. Piszą, piszą mnóstwo protokółów /z kompanii zginęło ok. 40-tu
ludzi/. Zaczęli to potem sprawdzać, i tłuką:

- Podajeś nam samych nieżyjących!

Byłem wysportowany, serce miałem mocne. Wytrzymałem to wszystko, jak
widać.

Wozili mnie do Warszawy. W Warszawie na Złotej pod numerem 10-ym
był w czasie wojny punkt, gdzie zdawałem meldunki. Byłem wtedy między inny-
mi w wywiadzie kolejowym i zdawałem meldunki dotyczące ruchu pociągów.
Były : : Fahrt-Numery i Zug-Numery. Zug -Numer dotyczył trasy pociągu od
parowozowni do parowozowni, a Fahrt-Numer od załadowania do wyładunku.
To były 9-ciocyfrowe numery. Kto by je odcyfrował wiedziałby wszystko:
skąd, dokąd i jaki ładunek dany pociąg wiezie. Zajmowałem się okręgiem
wileńskim, znałem wszystkie numery, moi ludzie obserwowali ruch pociągów
na linii Wilno-Mołodeczno. Wozilem spisy numerów do Warszawy, ale ciągle
nie wiedziałem, co znaczą. Później wykradliśmy z Dyrekcji Kolei klucz do
rozszyfrowania tych numerów. Za to Niemcy rozstrzelali dwóch swoich i
czterech Litwinów, wszystkich podejrzanych. Wyciągnęliśmy to z Tońkiem

z ogniotrwałej kasy. Całą noc siedzieliśmy w pokoju, a obok siedział oficer dyżurny. Kiedy wyszedł do ustępu wskoczyliśmy do pokoju. W biurku były zapasowe klucze. Otworzyliśmy kasę, zabraliśmy klucz do szyfrów. Posmarowaliśmy drzwi kasy gotowaną machorką, żeby nie było widać odcisków. Ten sposób działa także na psy, uniemożliwia tropienie. Zawiozłem tę książeczkę szyfrów zaraz do Warszawy. Były w niej spisane numery pociągów na całą Europę. Były tylko dwie takie książeczki i jedną z nich wykradliśmy. Dostałem za to nagrodę. Był to 1942 rok.

Na Złotej pod nr 10-ym był zakład pogrzebowy braci Niedzielskich. Powiedziałem NKWD, że meldunki zdawałem na ulicy Złotej. Zawieźli mnie do Warszawy, samochód nie może dojechać, bo gruzy. Prowadzą mnie - spojrzałem i odetchnąłem - dom pod numerem 10-ym leżał w gruzach.

W Warszawie nie przesłuchiowano mnie. Przyjechał ze mną podpułkownik Sierżj. Specjalnie przyjechał w Moskwy, żeby badać moją sprawę. Został szefem NKGB w Wilnie. Wysyłał mnie często na dworzec, żebym wybierał meble do ich gabinetów. Szedł pociąg za pociągiem, wieźli zdobyczne dobra. Ja z konwojem jechałem ciężarówką na dworzec, kazałem otwierać wagony i wybierałem co lepsze meble. Co mi żal mebli, jak je do Rosji wiozą? Wybierałem, jak chciałem, dywany, stojące zegary, biurka.

Oblazły nas wszy. Mówię pułkownikowi, że łatwo jest zrobić w piwnicy prysznic. Zrobiłem plan pryszniców - dał do sprawdzenia, czy to nie wybuchnie. Spytał, kto to będzie robił?

- Tu siedzi dwóch Bohatkiewiczów ślusarzy kolejowych - odpowiadam.

- A skąd wy wiecie?

- Jak szedłem na śledztwo, stali z rękami do góry.

Bohatkiewiczze wzięli narzędzia /mieli wyroki po 10 lat/, rur było dużo. Wybraliśmy odpowiednie i zrobiliśmy prysznic.

Chcieli mnie też wysłać na proces Okulickiego. Już mnie ogolili, dali ubranie. Śledczy rozmawiał ze mną przez całą noc, a ja przez całą noc pytam: "za co osądziście moją żonę?" Chciał mnie "ustawić", jak mam zeznawać w Moskwie. A ja ciągle pytałem o żonę.

- Skąd wiecie, że została osądzona?

- Moja sprawa jest dbać o moją rodzinę. To nie to, co u was, że jak kogoś aresztują, to się go wyrzekacie.

- U nas takie prawo, że rodzinę wroga narodu "unistażajetsia".

- Pułkowniku, ale ja jeszcze nie jestem skazany!

- Wystarczy spojrzeć... po tobie widać, żeś wróg narodu.

Nie dostaję paczek, nic, siedzę głodny - i raz zabiera mnie, niby na badania nie ktoś, kogo nie znałem - sekretarz pułkownika. Czasem spisywał protokoły, chodził bez dystynkcji. Wcisną mi kostkę masła: "Masz, schowaj". A w kostce masła - ołówek. Na to mówi:

- Ja oszukuję władzę, a tu mnie jeszcze oszukują!

Ale nic, rozmawiamy dalej, tylko on co chwila krzyczy: "Prawdu gawari!" - bo ktoś idzie korytarzem. A czapkę powiesił na kłamekę, żeby nikt przez dziurkę nie podglądał.

- Słuchaj - mówi do mnie - ty jesteś inżynier. Ja byłem na czwartym roku inżynierii kolejowej. W ostatniej chwili wzięli mnie do wojska. Wojna się kończy - iść na front i ginąć? Wkręciłem się do tych śmierdzących /mówi wyraźnie "śmierdzących"! / wojsk NKWD...

I on mi paczki dostarczał przez 2 miesiące.

Dyrekcja NKGB mieściła się w domu dyrektora Głazka. Tam odbył się sąd. Ja jeden wyjątkowo miałem adwokata. To był kapitan, w mundurze, uczciwy chłop. Przyniesiono mi nawet syna.

Ten kapitan był też ranny w nogę, jak ja, wyszedł ze szpitala i kazali mu mnie bronić. "Ty ranny i ja ranny - mówił - to my krewni."

Klawiszem był Rabinowicz, były partyzant radziecki. Bardzo mnie nie lubił, bo kiedyś, kiedy mi dokuczył, powiedziałem mu: "Słuchaj no, Rabinowicz, ty u mnie nie raz na muszce byłeś i żałuję, że nie nacisnąłem wtedy spustu".

Kiedy zebrał się trybunał i przyszedł oficer zabrać mnie na rozprawę, Rabinowicz przekazuje mnie i mówi do niego: "Wasia, ty mu daj 5 lat dodatkowo za to, że mi tak powiedział".

Sądził mnie Wojenny Trybunał, "Litowski Żelazno-Dorożnyj Wojennyj Trybunał". Za stołem siedziało około 10 osób: oficerowie, szeregowi, wojskowi kolejarze. Przewodniczący wyczytuje nazwiska ich wszystkich. Pyta, czy nie mam nic przeciwko składowi Trybunału.

- Mam - mówię.

- Szto takoję?

- Jeden z członków Trybunału otrzymał polecenie, by dać mi dodatkowo 5 lat.

Nie zapytał, który. Wyprowadzili mnie. Na drugi dzień skład był ten sam, tylko zamiast oficera, który rozmawiał z Rabinowiczem, siedziała kobieta.

Byłem sądzony razem z jednym starszyną radzieckim i z Polakiem o nazwisku Stańczyk, ale oni nie byli w mojej sprawie. Nie wiem nawet na ile lat skazali tego żołnierza, Stańczyka spotkałem potem w transporcie, dostał

wyrok 7 lat. Ja dostałem 10 lat, ale kobieta, która zastąpiła poprzedniego oficera, żądała kary śmierci. Skazano mnie na 10 lat obozów pracy i dożywotnią zsyłkę.

Zaraz po osądzeniu przewieźli mnie do więzienia na Łukiszki. W więźniarce był tylko jeden pijany żołnierz, który nie zamknął dobrze drzwi. Gdybym nie był ranny w nogę, mógłbym uciec.

Moja żona siedziała też w *Więzi*, tylko w innej celi. Była sądzona w maju, a ja w czerwcu 1945 roku. Dostała wyrok tylko trzech lat - nie była w oddziale, odpowiadała z innego paragrafu, dobrze się broniła, niczego jej nie udowodnili.

Było dużo wyroków śmierci. W areszcie NKGB nie było jeszcze o nich wiadomości, ale na Łukiszkach trzymali nas na czwartym piętrze, a na dole były cele śmierci. Dwa razy w tygodniu podjeżdżały kryte samochody i wtedy

raz po polsku, po litewsku, po rosyjsku mówili:

- Daswidania, bratcy ...

albo

- Do widzenia, chłopcy, jadę na ostatni etap...

Były trzy miejsca, gdzie rozstrzeliwali: w Ponarach rozstrzeliwali Niemcy, ale NKWD też dowoziło do Ponar i w dwóch miejscach w stronę Nowej Wilejki, dokładnie nie wiem, nie byłem po wojnie w Wilnie. Na raz przyjeżdżały 2-3 takie ciężarówki. *Wiem, że był rozstrzelany Polacy z AK, ale nie umiem powiedzieć, kto*

Na Łukiszkach siedziało wtedy 23 tysiące ludzi. Nie tylko w celach, ale i w kościele, na schodach.

Na Łukiszkach siedziałem w celi zbiorowej, 40 osób, codziennie draka. Było nas w celi 14 partyzantów, nie daliśmy sobie w kaszę dmuchać.

Przywożą mnie po sądzie, wchodzę do celi - nie ma gdzie stanąć. Mam plecak i złodzieje chcą mi ten plecak zabrać. Idę do swoich, już oni wołają "Heniu, chodź do nas" - a jeden złodziej przyczepił się do tego plecaka i trzyma. A był wśród nas kolega - chłop dwa i pół metra, Jak on złapał tego złodziejaska - rzucił go chyba pięć metrów, na innych.

Na Łukiszkach siedziałem 3 miesiące. We wrześniu 1945 zaprowadzili nas na rampę, tam klęczeliśmy. Obok przechodził enkawudzista, mignęła mi jego teczka - było na niej napisane "Norylsk". Zaczęli ładować nas do wagonów: - Szumski, osobo-opastnyj, do innego wagonu.

Poprzedni wagon był taki, że można było po drodze uciekać. Zresztą parę osób z tego wagonu uciekło. Wagon, gdzie mnie przenieśli był mocny, specjalnie pilnowany, na dachu byli strażnicy w budce. Jak konwój zdawał nas następnemu konwojowi i opukiwano każdego drewnianym młotkiem - ja zawsze dostawałem dwa razy. "Osobo-apastnyj jest?" - i wtedy.

Przywieźli nas do Mołotowska, 60 kilometrów od Archangielska. Jest tam baza wojenna północnej floty ZSRR. Tam było najgorzej - karmili, byle pracować można było. Była tam stocznia łodzi podwodnych, stocznia krążowników, remonta - wszystko na gruncie osuszonym z morza. A miasto i łagier zbudowane na wodzie, na palach.

Każdy musiał przepracować jeden dzień na budwie cmentarza. Był to oddzielony tamą kawał bagna i wysypywali na to piasek. Potem wpuszczali nas rozebranych do naga - ubrania zostawiało się na tamie, a to był wrzesień, śnieg już leżał - musieliśmy udeptywać ten piasek, umacniać tamy. Człowiek po 10 godzinach był zupełnie siny. A złodzieje brali lepsze ubrania, przebiegali się w nie, kupowali spirytus. Potem trzeba ubierać się - a ubrania nie ma. A nikt nawet spodni włożyć nie może.

W Mołotowsku dostałem nawet nagrodę. Był tam kryty dok, 64 metry wysokości. W jednej grodzi stały dwa krążowniki, w drugiej po skosie stało 14 kontrtorpedowców/ łodzie podwodne budowano gdzie indziej/. Był to tak olbrzymi gmach, że dywizjon artylerii przeciwlotniczej stacjonował na jego dachu! I koszary tego dywizjon także były na dachu. Jak był wiatr i porwało któremuś z nich bluzę, prosili nas, żebyśmy przywiązali do sznurka."Aaa, to przywiążcie najpierw papierosy!". Chociaż ja wtedy jeszcze nie paliłem...

Kazali mi - zobaczyli w aktach, że ja inżynier - zmontować i wstawić bramy. Jedna brama waży 80 ton, leży na ziemi, trzeba ją postawić i zamontować.

Powiedziałem, że muszę zrobić projekt. Dali papier.

- Na jutro musisz zrobić!

Dobrze, zrobiłem szkic. Obliczyłem, że trzeba do tego 2 kilometry stalowych lin określonej średnicy.

- A skąd my to weźmiemy?

- Chcecie postawić, to musicie skądś wziąć.

Nazwozili samolotami stalowych lin - różne średnice, różne kawałki. A taka lina stalowa, jeśli ma wytrzymać obciążenie, nie może być łączona. Przydzielili mi dziewięćdziesięciu ludzi - stawiaj bramę! Mówię, że trzeba jeszcze zabetonować kotwy itd. "Do zimy musi to być gotowe" A był październik, miałem miesiąc czasu.

Cała brygada dostawała dziennie dodatkowo 2 kilo chleba i 10 porcji zupy. Dziewięćdziesięciu ludzi! Ani razu tego chleba nie wziąłem.

Wtedy zamieniłem z jednym oficerem buty, miałem skórzane buty. Zamieniłem na dwa bochenki chleba, 30 kawałków cukru i puszkę amerykańskich konserw. Potem we trzech pojechaliśmy dźwigiem do góry, żeby to zjeść, bo na dole

zabiorą nam bandyci.

Był w Mołotowsku Jan Wolski, starszy człowiek, też z komendy okręgu. Mówiłem mu, że trzeba mówić, że się coś umie, że się jest fachowcem, wtedy inaczej karmią itd.

- Panie Henryku, po co pan zawraca głowę, Amerykanie zaraz przyjdą i nas oswobodzą.

Później spotkałem go w Norylsku, pracowałem wtedy w biurze projektów, byłem już bezkonwojnym. Idę, patrzę - zamiata śnieg. Zabrałem go, nakarmiłem, bo miałem jedzenie, robiłem fuchy za innych, za wolnych.

Po tym, jak postawiliśmy bramy, zrobiłem sobie w warsztatach nóż z amerykańskiego świdra. Miałem brezentowy płaszcz, złodzieje nauczyli mnie, jak schować nóż w tym płaszczu. Trzeba go powiesić w szwie płaszcza. To uratowało mnie na statku. Złodzieje zabierali tam wszystko. Ja broniłem się, dwóch pokaleczyłem.

Z Mołotowska płynęliśmy do Dudzinki statkiem. W ładowni było pięć kondygnacji prycz zbitych z zielonych desek, jeszcze z korą. Położyłem się na pryczy i jak jakiś złodziej chciał czegoś ode mnie - dźgałem moim nożem. "Okularnik ma nóż" /miałem wtedy okulary/, tak mówili.

Statek nazywał się "Dzierżyński". W innej części ładowni było kilkadziesiąt ton mąki kukurydzianej, za drewnianą ścianą. Moim nożem przeziurawiliśmy tę ścianę i jeden worek z tą mąką, to już było jakieś wyżywienie. Na statku kuchni na tysiąc osób nie ma, a kotły zmyło w czasie sztormu.

Na skutek przechyłów zaczęły pękać nary, schodzić się do siebie i

dusić ludzi. Złodzieje, którzy siedzieli na górze, spadali na dół. Powiedziałem wtedy: Wyrwać z podłogi grube deski i rozpierać prycze, żeby się nie zjeżdżały. To mnie uratowało, później już bandyci nie napastowali mnie; za to, że ich ratowałem.

Wody nie dawali. Co parę dni ~~raz~~ spuszczaali na linach kocioł z kaszą. Nikt nie miał ani łyżki, ani miski, a kasza gorąca. Za którymś razem zerwała się lina - pięciu ludzi stojących pod kotłem poparzyło albo przygniotło na śmierć. Trupów nie zabierano, musieli się potem rozliczyć. Odór z tych trupów...

Rdzawa woda spływała po ścianach ładowni, więc chustką zbierałem ją i wyciskałem. A kto zjadł tej mąki i nie miał czym popić, ten też później umierał.

Załadowali nas do tej ładowni 998 osób. Kiedy przyплыnęliśmy do Dudzinki, statek stanął 3 kilometry od brzegu, bo lód był. Na lodzie zrobili punkt przyjęcia i wyczytują wszystkich z ładowni. Stu trzydziestu nie zgłosiło się. Byliśmy w drodze 23 dni, normalnie droga taka trwała 6 dni. Były sztormy, raz statek leżał na mieliźnie. Wody nie było, ludzie umierali. Trzymali tych, co umarli, w ładowni, człowiek żył między trupami.

Wyczytali wszystkich, poprowadzili do łagru, po drodze też zostało kilkadziesiąt osób.

W Dudzinie przebywałem przez tydzień, potem przewieźli nas do Norylska. Dali mnie na "Rudnik 3-6", czyli do kopalni. Udało mi się dostać do pracy przy pomiarach w kopalni, rudy nie kopałem. Obóz miał ten sam numer, był położony 6 kilometrów za miastem przy górze Schmidta.

Z tego obozu paraset osób było w ekspedycjach poszukiwawczych. Wszystko obsługiwali więźniowie - radiostację, samoloty, wszystko. Żołnierz, który konwojował ich, nie umiał pisać. Ale gdzie stamtąd uciec?

Później wybudowałem tam

teatr dla wolnych i więźniów, teatr, klub i kino. Był na granicy - raz zamykali jedną bramę i wchodzili wolni, ~~inny~~ innym razem zamykali inną bramę i wchodzili więźniowie. Robiłem pomiary w kopalni, a oprócz tego zrobiłem właśnie projekt tego klubu, który kopalnia własnymi siłami zbudowała.

Komisja przyjmowała mój projekt do realizacji. Przyjechał ich szef biura projektów i inni:

- Kto projektował?

- U mnie jest - mówi naczelnik kopalni - takoj Szumski.

I później dyrektor biura projektów ^{mnie} ściągnął specjalnym konwojem do tego biura projektów.

Po przybyciu do Norylska miałem ogólny numer, ale nie malowali nam tych numerów na kolanach, czapkach i plecach. Nie było wtedy jeszcze ustawy o więźniach politycznych. Do 1950 roku trzymali mnie jeszcze w łagrach ITL, dlatego, że teatr budował się, musiałem chodzić do miasta. Miałem specjalnego wartownika na wachcie, sierżanta, on mnie odprowadzał do pracy.

- Ja jeszcze tu zajdę - mawiał - a ty miasto znasz, ty idź sam!

I tak chodziłem sam.

W kopalni pracowałem 8-9 miesięcy. Nie chciałem do miasta, w kopalni miałem dobrze: do łagru przychodziłem tylko na noc, stołowałem się na terenie kopalni. Robiłem plan kopalni, bo jest 12 kilometrów głównych chodników, od nich odnogi w prawo i w lewo - i nie ma planu. Dostałem paru ludzi, chodziliśmy z wszystkimi niezbędnymi instrumentami i kreśliłem plan. Nie chciałem iść do biura projektów, a żołnierz, który mnie konwojował, mówi:

- Ty dureń, że nie chcesz tam iść. Tam same lordy!

Przeszedłem do obozu nr 2. To był obóz w środku miasta. Pracowałem w biurze projektów, był tam potrzebny kierownik techniczny. Potem stamtąd wyniosłem się, bo był tam taki naczelny inżynier Znowa, Ukrainiec, sukinsyn, prześladował mnie. Nasze dziewczyny, Polki wrywały mu się, on na nich bluzki porwał. Ja go raz wybiłem.

Były tam dwie Polki, siostry Kupczakówny. Wziąłem je do pracy jako kreślarki, a on zawołał jedną - ona wraca po chwili, krzyczy, bluzka porwana. To ja taką linię mierniczą wziąłem:

- Zabiję - mówię - jak nie wyjdiesz stąd.

Biuro projektów
to było 600 inżynierów i techników z całej Europy, kierownicy byli wolni.

I był taki Ukrainiec, ja za niego wykonywałem projekty, a on za to brał pieniądze. Mnie - co z nosa spadło, to masło, to coś przynosił. Zawsze miałem lepiej. On brał za to 1000 rubli, a ja byłem bezkonwojnym, więc siedziałem w pracy do nocy, wracałem do domu o dwunastej w nocy.

On wziął urlopowego 60.000 rubli, a później była wymiana pieniędzy.

- Co robić z tymi pieniędzmi? - pyta

- Wiesz co, w sklepie oficerskim sprzedają spirytus. Idź, masz kartę wstępu do tego sklepu, weź beczkę spirytusu. Spirytus nigdy nie straci wartości.

- Ale ja nie piję.

Ale kupił - beczkę spirytusu /100 litrów/ i jeszcze dwie skrzynki wina.

- Ale jak to schować?

- Mieszkaś w oddzielnym pokoju - mówię mu - obuduj tę beczkę czymś i niech stoi.

Nic nie dał za poradę. Później napuściłem na niego dwóch wolnych Rosjan.

Upili mu z tej beczki, ale ile mogli mu upić?

- Ty im powiedziałaś? - pyta mnie potem.

- Ja. Twoi przyjaciele pijani przyszli, to im powiedziałem, że u ciebie spirytus, bo w sklepach już nigdzie nie było.

W nowym łagrze wyznaczili mnie do komisji. Jak przywozili nowych ludzi, to każdy mówił: Kucharz... fryzjer... inżynier... Ja byłem od sprawdzenia, czy on jest inżynier, czy technik.

Przyszeli gość, mówi, że geolog. Patrzę: Polak, Niedźwiecki, cholera! Przychodzi, mówi po rosyjsku kiepsko, miesza polskie wyrazy...

- Mów pan po polsku!

Ucieszył się.

Jan

Był też inżynier Makowski, brat malarza Makowskiego. On umarł w ~~in~~ obozie.

I Niedźwiecki też umarł. Makowski to był fajny chłop. Byli też Polacy - lekarze: doktor Mattoszko, Juchiewicz. Juchiewicz został w Nowyjsku.

Adam,

Był tam mój kolega Szypow ^{Adam,} Żyd. Po polsku czyściej mówił ode mnie, znał jednaście języków. Był attache w Berlinie, a potem w Waszyngtonie, attache rosyjskim, w stopniu generała. Był szpiegiem, wsadzili go w procesie Tuchaczewskiego. Bo kiedy był w Berlinie - pokazywali zdjęcia - siedział z Tuchaczewskim w kawiarni. Ten był attache, a Tuchaczewski był w tym czasie na studiach. Potem był w Waszyngtonie, kiedy był proces Tuchaczewskiego, kazali mu przyjechać do Rosji. On nie pojechał. Wiedział, że jak pojedzie... Wszystkich sądzonych wtedy rozstrzelano. Przyjechał po pół roku - dostał tylko 15 lat. Szypow to było jego rosyjskie nazwisko, a naprawdę nazywał się Szapiro i był z Warszawy. W 1920 roku uciekł do bolszewików. Był z dobrej rodziny, kulturalny. Jemu przedież Hemingway przysyłał do łagru najnowsze wiadomości i najnowsze swoje książki!

W obozie numer 2, kiedy był tyfus, oddzielili kawał obozu i tam chorzy na tyfus degorywali. Nikt ich nie leczył. Była jedna epidemia tyfusu, w 1947 roku. Potem już epidemii nie było.

5.000 rubli kosztował transport jednego człowieka do Norylska. Jak on umarł - straty. Deszli do przekonania, że bardziej opłaca się lepiej ludzi ubierać i karmić, żeby tak nie umierali. Od tego czasu bardzo się poprawiły warunki. Tylko wyjątkowo ktoś umierał na gruźlicę. Tam gruźlica nie panowała, bo przy takich mrozach prątki gruźlicy nie utrzymywały się. Ale kto miał już wcześniej gruźlicę, to szybko umierał.

Przywozili z wyrokami od 10 lat wzwyż. Ludzi z mniejszymi wyrokami nie opłacało się przywozić. Kiedyś przywieźli ~~ludzi z wyrokami~~ tych, co jedli ludzi w czasie blokady ~~Leningradu~~ Leningradu. Oni dostali po 5 lat, a po pięciu latach musieli ich odwieźć z powrotem! Był jeden taki etap, a ten, co ich przywiózł, został pozbawiony stopnia oficerskiego. Potem był jeszcze tylko transport prostytutek z trzyletnimi wyrokami - musieli odwieźć, kłopot tylko był z nimi.

Opłacało im się przywozić specjalistów. Kiedyś przywieźli z Estonii całą orkiestrę, z dyrygentem! Przyczepili się do nich, że coś źle zagrali czy coś takiego - i przywieźli ich wszystkich!

Prostytutek było około 300. Pracowałem wtedy w sortowni. I przychodzi do mnie jedna - dobrze ubrana, elegancka: "Naczelnik - mówi - chcesz z nami dobrze żyć? Widzisz, mnie twój majster daje kilof do ręki. Ja oprócz chuja i łyżki nic w ręku nie miałam przez całe życie! Nie będę pracować, ja i moje koleżanki."

- A ile was jest?

- Sześć.

- A co ja z tego będę miał?

- Możesz wybierać, którą chcesz.

- Wy zarażone...

- Nie! Wszystkie po kapitalnym remoncie! ~~Reszta będzie pracować, niech spróbują nie pracować. Nas~~

sześć nie. Ale my musimy mieć 150 procent normy.

Byłem jeszcze w "dwójce". Przywożą gościa, wprowadzają w ubraniu cywilnym jeszcze, elegancko ubranego. Umieścili go oddzielnie. Dowiedziałem się, że jego nazwisko to Tarnowski *Julian* Iger. Później ja mówię: Podobno inżynier, dajcie nam tego inżyniera. I gadam z nim - on rozumie po polsku, ale sam nie gada po polsku, tylko po rosyjsku. Okazało się, że był aresztowany w ambasadzie w Waszyngtonie. Ich wszystkich zabrali w ZSRR San Francisco na statek sowiecki, potem samolotami przewieźli do Nerylska, rozdzielili po łagrach. To byli ci, co kupili bombę atomową od wywiadu amerykańskiego.

Rosjanie mieli uran, wiedzieli, że trzeba połączyć składniki - ale jak połączyć i w jakiej proporcji, tego nie wiedzieli. Wywiad amerykański w mieszkaniu żydowskich specjalistów od atomistyki (co ich później Amerykanie stracił) sprzedał tę technologię.

A tymczasem w ZSRR był olbrzymi wybuch. Bo Rosjanie kupili lipę, za pięć milionów dolarów. W Samarkandzie w środkowej Azji był olbrzymi wybuch - taki, jak w Hiroszimie. Masa ludzi zginęła. Powiedzieli, że to jest trzęsienie ziemi. A cały personel ambasady ZSRR w USA osadzili na 15 lat.

Później, już na Kołymie miałem pracownicę, wolną, komsomołkę, która była skierowana na miejsce tego wybuchu dla ratowania tych napremieniowanych. Ona mi opowiadała, ilu tam ludzi zginęło i jak to było naprawdę.

Tarnowski mówił: "Trzęsienie ziemi? Ja wiem co." Ale dalej nic nie mówił.

Tarnowski nic nie mówił, skąd pochodzi itd. Tajemniczy był. Kiedyś tylko po powrocie do obozu wypiliśmy ćwiartkę spirytusu i wtedy mi parę słów powiedział. A tak - nic nie mówił.

Raz - w 1948-49 roku, już nie pamiętam - zabrali mnie nocą z łagru i zawieźli do zarządu łagrów. Tam opracowałem sprawozdanie do ministerstwa spraw wewnętrznych od zarządu łagrów. Posadzili mnie w sali, kupa pism obok -

musiałem to wszystko ułożyć i oprawić, /debrze oprawiałem, robiłem często pa-
miątki. To ja pół nocy czytałem te ich pisma, a pół nocy byłem jak oprawiałem.
I tam było 2.150 Polaków, więzionych w Norylsku. Ogółem było w Norylsku
sto sześćdziesiąt tysięcy więźniów.

W raporcie było to ciekawe, że Polacy nie liczyli się jako cudzo-
ziemcy, ale jako obywatele ZSRR.

Styszałem o jednej udanej ucieczce z Norylska.

To byli lotnicy, którzy przerzucali w czasie wojny samoloty z Kam-
czatki do Rosji. Przez całą wojnę zabierali z Kamczatki samoloty amery-
kańskie i latali do Rosji. Pod koniec wojny wszyscy awansowali, podos-
tawali odznaczenia - nie było wśród nich niższego niż major czy
podpułkownik. Ni z tego ni z owego przywieziono ich do Norylska - nie
aresztowane! W mundurach, z odznakami. Dopiero na lotnisku w Norylsku
zdjęto im pagony i w samolocie osądzono za łączność z krajami kapitalis-
tycznymi. W czasie wojny stykali się z Amerykanami, mieli zdjęcia,
upominki... Przywieziono ich dziewiętnastu. Powiedziano im,
że będą przebazowani, żeby wzięli tylko ręczny bagaż w teczkach,
a później "dowieziecie sobie resztę". Trafili do obozu nr.2. To był
1948 rok. Ale oni pochowali odznaki, a mundury mieli
podobne do NKWD - sześciu przyczepiło sobie odznaki, wyszło przez
wartownię, na lotnisku uruchomili samolot i uciekli. I kiedy oprawiałem
raport do Moskwy, to oni jeszcze liczyli się jako uciekinierzy.

Kiedy ucieczka była nieudana, przywożono zabitego i leżał na wartowni,
kołek w pierś wbity i napis: "To czeka każdego uciekiniera". Trzy razy
widziałem takich uciekinierów. Trzech za jednym razem. Dwóch złodzieji,
trzeciego wzięli na mięso. Odeszli niedaleko, nie orientowali się w
terenie (przecież tam dużo rzek, bagien). Miejscowi dostawali 5 bonów
w złocie za każdego złapanego gościa. A bony były tam wartościowe.
I miejscowi zawiadomili, gdzie oni są. Przywieźli ich zabitych.
Leżeli przy wyjściu, przy bramie. Kołek wbity, na kołku deska z napisem.

Wszyscy byli z naszego łagru, tj. z drugiego. Jeden był dniewalnym, ten był przeznaczony na mięso, bo był lepiej odżywiony.

Na perzadku dziennym było, że kiedy wnoszono trupy z obozu, to na wartowni specjalnym czekaniem rozrąbali im czaszki, i dopiero potem ~~wywieźli~~ wywieźli na cmentarz. Cmentarz położony był przy karnym obozie. *Karny obóz był za Norylskiem, nikt tam nie wytrzymywał.* Byli tam truponosze, którzy ~~rozbięte trupy~~ rozebrane trupy poukładane w sągi wywieźli na cmentarz i tam grzebali. Z tego karnego obozu nikt nie wracał. Złodzieje byli szefami tego obozu. Brali jedzenie dla wszystkich i dzielili między sobą. Ci, którzy byli do kopania dołów - ~~co~~ byli na rozchód, to było wiadome.

Na wiosnę, kiedy śniegi topniały, znajdowali na cmentarzu trupy.

Tam był jednocześnie nieduży obóz dla tych, którzy chorowali na choroby skórne. Tam niby ich leczyli...

Głównym architektem Norylska był inżynier Niepokólczycki, Polak, który po maturze uciekł z Krakowa do Rosji. Skończył politechnikę w Leningradzie i odsiedział w więzieniu rok za przekroczenie granicy i przesłali go do Norylska, kiedy jeszcze miasta nie było. "Ty architekt, zrób plan". I zrobił, pierwszorzędny plan, plan nowoczesnego miasta. Kiedy mówiono do niego po polsku rozumiał, ale sam mówić nie chciał, odpowiadał po rosyjsku. Jego żona Natalia Minienko była architektem i pracowała w naszym biurze. A Józef Wójcik był bardzo podobny do tego Niepokólczyckiego. Posadziła go naprzeciwko siebie, codziennie miał masło i wszystko. Wójcik pierwszorzędnie kolorował elewacje na planie. W tym biurze projektów umieściłem też Różanowskiego.

Z Różanowskim wszystko jest niejasne. On opowiadał już w Polsce, że uratował mi życie, a to ja go uratowałem. Przechodziłem którejs nocy koło kotłowni, nagle słyszę ciche: "O Jezu". Schodzę po drabinie do kotłowni, patrzę a on już sobie zakładał pętlę... Załatwiłem mu pracę w biurze projektów, umieściłem obok siebie w baraku. Nie zachowywał się dobrze. Był Nowy Rok - jeszcze w obozie nr 2 - i Różanowski mówi: "Co my tu obchodzimy? Szczekaczka gra, a nasze żony się kurwią." Ja za gradło go chwyciłem i uderzyłem.

- Za co mnie bijesz?

- Że swojej żony nie szanujesz, to nic, ale o mojej takich rzeczy nie mów!

Z biura projektów przeszedłem do zarządu budowy. Tam siedziałem długo, przez cztery lata. Byłem w łagrze nr 2, pracowałem w Gorstroju ze dwa lata, potem w Miedstroju półtora roku, od 1949 albo 1950 roku.

Pracowałem w Zarządzie Budowy "Północ". Robiło się projekty organizacji robót. Byłem wtedy kierownikiem technicznym trustu budowy huty miedzi - "Miedstroju". Tam robiłem różne prace, za które dostawałem lepsze wyżywienie. Później byłem jednym z trzech inżynierów nadzorujących pracę huty miedzi.

Był jeden moment - kilometr za hutą miedzi pali się łagier, sześćdziesiąt parę baraków. To był łagier ITL. A wodociąg był na Miedstroju i z niego zabierali wodę na gaszenie pożaru. Ja mówię, że szyber jest tymczasowy, idzie od pieca do komina. Patrząc ~~na~~ wskaźniki pokazują, że wszystkie termopary, co są na kominie - spaliły się. A oni zabierają wodę, która jest do ^{tympasowego} chłodzenia przewodów. Więc ja postawiłem brygadę Gruzinów przy wodociągu, żeby nikomu więcej wody nie dawali. Przyszedł pułkownik straży ~~na~~

ogniowej, nakrzyczał na mnie i wodę do chłodzenia kazał wyłączyć. Dzwonię

o drugiej w nocy do Zwierowa:

- Szto jest?

- Obóz się pali, miedzi nie będzie.

- A kto wam powiedział, że miedzi nie będzie?

- Naczelnik straży ogniowej.

- Zaraz tam będę.

Za dwadzieścia minut był samochodem, wezwał do mojej dyżurki naczelnika ~~sk~~ straży ogniowej. Z tamtego woda cieknie, zamarznięty - a ten go w mordę!

- Tobie inżynier powiedział! On lepiej wie. Twój obóz się spali!

I łagier spalił się do ostatka. Sprowadzili cały pułk NKWD, żeby tych więźniów ewakuować. Czy były ofiary - nie wiem, tam codziennie były jakieś ofiary. Nie było nawet czasu dowiedzieć się - spalił się łagier i koniec.

Był też pożar na kopalni węgla. Zginęło tam 200 ludzi, kopalnia była zagazowana. Była to kopalnia nr 12. Był to rok 1948 albo 1949. Przyjechali tam ratownicy z Donbasu, ci ratownicy też zginęli. Zginęła cała zmiana. Zapalił się gaz. Przez jakiś czas potem kopalnia nie działała.

Był jeden inżynier, który był kiedyś szefem ratowników w Donbasie. Później dostał wyrok 25 lat, przywieźli go do Norylska. Ale wiedzieli, że on jest specjalistą, więc siedział pod konwojem i wydawał rozkazy, był kierownikiem akcji ratowniczej w tej kopalni. Wszystko musiał pisać, żeby ^{mogli} sprawdzić, czy on ~~nie~~ czegoś... Nazywał się Rabinowicz. Później opowiadał mi o tym pożarze...

W obozach nauczyłem się dużo praktycznych rzeczy, ale uważam te lat za wyrwane z życia, dwanaście najlepszych lat, poza rodziną, wyrwanych ze mnie, za niewiadomo co. Ja wykorzystałem ten czas, nie siedziałem tam beczyn-

nie. Uczyłem się, robiłem doświadczenia jakich bym w Polsce nigdy nie zrobił. Nie znałem się na budowie kominów - w Norylsku musiałem w 84 dni w zimie zbudować 150-metrowy komin podczas 40-stopniowych mrozów. Nikt nie chciał się tego podjąć, powiedzieli: niech ten buduje, kto zrobił projekt. Przyszedł do mnie dyrektor Miedstroju i pyta:

- Czego potrzebujesz?

- A o co chodzi?

- To ty będziesz budować ten komin.

Przydzielili mi 140 paczek, a w każdej paczce było 10 pudełek papierosów, kilo masła, kilo cukru, kilo grochu itp. Paczka ważyła 7 kg. Sobie nie wziąłem żadnej.

Kiedy budowano hutę uranową, sprowadzili skądś więźniów, cały łagier przyjechał oddzielnie, na budowę. Nie wiadomo, co się z tymi ludźmi stało. Tysiąc z hakiem ludzi. Zbudowali hutę i gdzieś ich wywieźli. Ściany budował już inny łagier. Tam ^{był} właśnie budowany komin, metalowy, 150 metrów. To był selektor gazów, bo u góry zasklepiony. Była to fabryka nr 25.

Ale komin to było jeszcze chuchro, w porównaniu z resztą. Budowałem konstrukcję w kształcie litery S długości 130 metrów, zawieszoną nad ziemią na 17 metrach wysokości. Pobrałem na tę budowę 5 tys. metrów kwadratowych brezentu i 20 wolnych ludzi do ochrony tego brezentu. Wydawano mi każdy materiał, jakiego zażądałem i wszyscy śmiali się - "czy on to zrobi?", bo projekt był zły. Zrobiliśmy 10 metrów sklepienia tej konstrukcji - kazałem przestać. Nie wierzyłem projektowi. Był zrobiony w Moskwie, bez znajomości tutejszych warunków. Czekaaliśmy czy konstrukcja zawali się - i zawaliła się.

Była to budowa tak zwanej "czapuchy" czyli odprowadzenia z wielkiego pieca ^{G420} do komina.

Były w Norylsku dwie numerowane fabryki: nr 25 /fabryka uranowa/ i nr 76. To była huta selenowa. Selen to materiał, który nie rozszerza się w ciepłe - do rakiet itp. Robotnicy wchodziłi tam nago przez wartownię, tam dostawali ubranie i pracowali. Wychodzili - rozbierali się, ubranie zostawiali wewnątrz. Golili im głowy, wszystko. Pracowali tam wolni, płacili im dobrze. Selen jest droższy od platyny. Widziałem kawałek selenu jak pudełko zapalek. Miał wartość dziesięciu samochodów.

Za miastem był odgrodzony zupełnie teren. Budowaliśmy tam dla wolnych domy. Wolni przyjeżdżali z głębi Rosji, w Norylsku dobrze im płacili. Zbudowaliśmy pięcioklatkowy dom. Wszystkie klatki były zamknięte, tylko jedną wchodzili, ^{wolni do pracy} tam ich sprawdzali. Tam dużo rzeczy przywozili, ale niczego nie wywozili, bo uran można było wynieść "jednoosobowo". Prąd pobierali z dwóch turbin: jedna czeska na 12,5 tys. kilowatów, druga japońska na 25 tys. kilowatów. Ta fabryka ^t była nienumerowana. Nr 25

Z tego co wiem, fabryk zbrojeniowych w Norylsku nie było. Nie było kopalni uranu - uran przywożono z północy. Nie wytapiano stali. Nie było nic podziemnego, podziemne były tylko kopalnie gliny, bo trzeba było ciągle robić cegły z ^{ALUMINUM} eurolitu. Glinę eurolitową wyciągano ze stu metrów głębokości. Robiono ~~z~~ niej dobrą cegłę, klasy 500.

Znałem miasto dobrze, nie było tam nic podziemnego.

Frowadziłem też roboty ziemne - trzeba było wydrążyć w skale podłużny wykop, a ziemię i skały odrzucić na jedną stronę, bo z drugiej były tory, słupy itp.

Kierownikiem tych robót był Łapiński. Po polsku nie mówił, przyznawał tylko, że jego dziadkowie byli z Częstochowy. Zrobiłem projekt wykonania tych robót przez odpalenie ładunków wybuchowych. Łapiński się nie zgodził:

- W moim gabinecie wylecą szyby.

- To mniejsza, wstawimy te szyby z powrotem, ale praca będzie ukończona miesiąc wcześniej.

- Ja o tym nic nie chcę wiedzieć.

- Dobrze, weźcie urlop na dwa dni.

Wziąłem dwie brygady Gruzinów i założyliśmy ładunki wybuchowe, ale tak, by jedne wybuchły o sekundę później niż pozostałe. Powiedziałem, żeby z okolicznych strażniczych wieżyczek poschodzili strażnicy, bo będzie duży podmuch. Wszyscy poślazili a jeden został na wieżyczce i się śmieje. No to mówię: Siedź. I on najwięcej dostał - podczas wybuchu spadł z wieżyczki, a jego karabinu długo szukali. Ale wszystko wyszło jak należy, a to był duży wykop: 120 m długości i 8 m głębokości. Przyjechał Łapiński, spojrzał:

- Ty ryzykant.

A co ja ryzykowałem? A popробować można.

Budowałem też w Norylsku razem z inżynierem-Lotyszem budynek, w którym na 8-ym piętrze miało być kino. Nie mogło więc być tam żadnych słupów ani kolumn. Wymyśliliśmy, żeby zrobić tam podwieszane stropy.

- To będzie drogo kosztować - mówi ten inżynier.

- Czym się przejmować, poprobujmy.

I zrobiliśmy te stropy.

Były w Norylsku też podziemne przejścia: kolektor ciepłowniczy, wodociągowa i kanalizacja. Kolektor był tak zbudowany, że można nim było chodzić. Przechodził od domu do domu, a także pod łagami. Nazywano go "metrem". W mieście miał on długość 12 km.

Ruscy połapali się, że więźniowie chodzą tym przejściem. Przyszli do mnie a ja miałem plan ~~konstrukcji~~ kolektora, wisiał na ścianie.

Przyszeli major i mówi:

- Powiedz gdzie trzeba kraty zrobić?
- Jakie kraty?
- W kolektorze, bo ludzie chodzą.
- Róbcie gdzie chcecie, co to mnie obchodzi.
- Zrobimy tu, tu i tu.
- Nie rysuj na planie. Powiedz gdzie to zrobić, a my zrobimy. I proszę wydać polecenie na piśmie.

Napisał polecenie, gdzie zrobić kraty, zrobiliśmy. Na drugi dzień tych krat nie było: gaz i powietrze zdmuchnęły je, a ludzie dalej chodzą.

Awantura, wzywają mnie do NKWD: "Złe kraty". A krat wy musicie pilnować a nie my - mówię.

- Znani jesteście z tego, że się stawiacie.
- Stawiam się, bo wy macie swoje obowiązki i my swoje. A pomysł krat nie ja wymyśliłem.

Później zaczęli strzelać do studzienek. Ale ludzie dalej chodzili.

A że więźniowie byli lepszymi fachowcami od wolnych, postawiono w kolektorze betonowe zasłony w miejscach, gdzie strzelano.

W Norylsku na każdy tysiąc więźniów był jeden major-enkawudzista, w każdym łagrze było dwóch ~~majorów~~ majorów. Jednego kiedyś pobitem, wsadzili mnie do karceru, wstawił się za mną dyrektor kombinatu. Byłem już wtedy na Miedstroju, w obozie nr 5. Ten enkawudzista codziennie wzywał 10-15 ludzi, szukał donosicieli. Wzywa mnie i pyta:

- Będiesz dla nas pracował?

- Pracuję dla was - mówię.

- Ooo, ty za chytry jesteś. Ty nie dla nas, ty dla Miedstroju pracujesz, nie dla nas.

- Co to znaczy "dla nas", nie rozumiem.

- My chcemy wszystko wiedzieć, ty musisz donosić.

- Nie będę donosić.- mówię.

- To ty nie tylko, że do Polski nie wyjedziesz, ale ty z za drutów nie wyjdiesz!

- A to jest - mówię i śmieję się - w rękach najsprawiedliwszego w świecie sądu radzieckiego!

- A ja mam gdzieś sąd radziecki! - i mnie uderzył.

Ja za krzesło i jego po łbie. On: "Soldat!", wleciało dwóch żołnierzy i zabrali mnie do karceru. A wtedy pilna robota była, taka specjalna - budowa huty miedzi. Chłopcy zaraz donieśli zastępcy dowódcy kombinatu. Przyjechał ^{Zwierow} dowódca kombinatu ~~Zwierow~~. Podpisał się na wartowni, kazał mnie sprowadzić:

- Za co was posadzili? - pyta.

Pokazuję na kierowcę, że nie chcę przy nim mówić.

- Paniatna.

Poszliśmy do gabinetu, powiedziałem o wszystkim.

- Woł blad - mówi ^{Zwierow} Zwierow - On na urlop pojedzie i już nie wróci tutaj.

Budynek dowództwa kombinatu był najwyższy w Norylsku. Projektowałem ten budynek. Kiedy było przyjęcie projektu, wszyscy musieli podpisać się na głównym arkuszu projektu: zarząd kolei, kopalni, zaopatrzenia itd. Ostatni miał podpisywać pułkownik Owsiannikow, dowódca pułku ochrony w Norylsku.

Przychodzi Zwierow:

- Widziałem w szatni tyle par kałoszy. Kazałem zabrać! Przyznać się, który oficer w kałoszach chodzi?

Nikt się nie przyznaje.

- Nie szukajcie tych kałoszy - mówi - oddałem do łagru. Czy wszyscy święci podpisali projekt? *o tym nie wiem*

Mówię, że nie, że pułkownik Owsiannikow nie podpisał.

- Dlaczego?

- Bo nie będzie miejsca na podwójną strefę ochronną. (plac budowy miał być w centrum miasta, a na budowie mieli pracować więźniowie)

- Owsiannikow, podpiszesz?

- Nie, nie podpiszę.

- A ty wiesz, że w Moskwie więźniowie budują metro i nie ma żadnej strefy ochronnej?

- Oni w Moskwie mogą, my tu nie możemy.

- No to ty mi nie jesteś potrzebny.

✓ - Będą w Moskwie żałowali... *składowe*

- Lepiej znają Zwierowa niż Owsiannikowa...

Zwierow był pierwszorzędnym fachowcem, podwójnym: inżynierem-górnikiem i inżynierem-hutnikiem. Jego decyzje były zawsze trafne.

Było kiedyś organizowane w domu personelu technicznego dziesięciolecie kombinatu. Przyjechali komsomolcy, bo to niby oni kombinat budowali. Uroczystość, grała orkiestra Estończyków, więźniów, we frakach.

Podczas balu podszedł do Zwierowa jego zastępca do spraw politycznych i mówi: "Władimir Stiepanowicz, ty tancujesz, *jako kawał* jak тебе kontriki

igrajut". Ten zawołał adiutanta: "Piszi prikaz..." Następnego dnia już tego zastępcy nie było w kombinacie.

W czasie pierwszego spustu miedzi byłem w drugiej, głównej hali. Tam nie było posadzki. Posadzki miały być żeliwne, nie ma żelaza - posadzki były ze zmarzłej ziemi. Przechylił się konwertor i ^{połtowej tony} miedzi popłynęło na zmarzłą ziemię. Ja stałem za taką kolumną, straszny był widok - wyrwało 200 metrów dachu, zginęło kilkunastu ludzi: dźwigowych, suwnicowych. Para poszła wysoko: zmarzła ziemia - i na nią trafia teraz 1200 stopni... Jedną suwnicę zerwało zupełnie, zginął suwnicowy z pomocnikiem... Akurat wtedy już Zwierow pojechał. A wcześniej była orkiestra, wszystko, nalewali do specjalnej formy miedź z konwertora, forma była z literami. Zwierow z tą formą pojechał do Moskwy. Jeszcze Zwierow nie był za bramą, kiedy był wybuch...

Przez 5 miesięcy nikomu nie płacili ani grosza, bo nie było pieniędzy. W sklepach wydawali żywność "na kreskę". Potem wszystko zostało wyrównane.

Brat Zwierowa był ministrem finansów ZSRR, Zwierow wiedział, że pieniądze będą.

Robiłem wtedy zestawienia, co trzeba przywieźć - a trzeba przywieźć w ciągu trzech miesięcy. A w Norylsku masa budów. I był Żyd Gawin. Przychodzi do mnie i ~~niekiedy~~ mówi:

- Zobacz, jakie u nas w Związku Radzieckim zwyczaje są: pisze inżynier pułkownik do generała, żeby biednemu Żydowi włosów nie strzyc!

Bo nam strzyżono włosy, a on poszedł do zastępcy dyrektora kombinatu i ten napisał, żeby biednego Żyda nie strzyc!

W. Kopcyński
Kotłowne miały wymiary 80x80cm, były kopane bez szalunku. Kiedy był już wykopany kotłownik, przywożono gorący beton i spuszczano do wykopu. Brygadzysta, jak chciał kogoś sprzątnąć, stawiał go obok wykopu, żeby regulował spływ tego betonu. Wystarczyło go popchnąć

i leciały na niego tony ~~coraz~~ ^{coraz} więcej betonu

płynnego, gorącego betonu. Później poszukiwali - nie ma człowieka, zniknął.

I to było na porządku dziennym, na każdy postawiony dom przypadał przynajmniej jeden taki przypadek.

Brzezi wykopu były śliskie i wystarczyło tego człowieka pchnąć, zamachał rękami i koniec.

W pewnej nocy siedziałem w ustępie, bo miałem rozwolnienie. Ustęp był "dziesięciooczkowy", w środku przedzielony ścianką. Był oddalony od baraku ok. 50 metrów. Siedzę tam, nagle - światła elektryczne i stoi przede mną z 10 dozorców z pałkami:

Co tu robicie ?

- Nie trudno się domyślić.

- Idziemy, zobaczymy - powiedział jeden i wziął mnie do drugiej części ustępu, a tam leżał zabity człowiek, jeden ze szpicli.

- To nie ty ?

- On już zamarł, a ja dopiero co przyszedłem.

Wśród donosicieli najwięcej było Łotyszów. Często człowiek dowiadywał się, że jakiegoś zabili. Zabili to zabili, nie ma się czym martwić. Gdyby naszego zabito to bym się martwił. ~~KXXXXXX~~ Ale z Polaków nikogo nie zabili.

Był taki Siętko-Siętkiewicz. Przyszedł któregoś razu do mnie i mówi:

- Pan musi pracować z nami.

- Z kim ?

- Mamy organizację.

- Organizację to ja miałem kiedyś i za to siedzę - wiedziałem mniej więcej, kim on jest.

V

- Musimy zbierać pieniądze na nas wszystkich.

- Wiesz co, bracie, spieprzaj stąd, pókiś nie dostał. - Otworzyłem drzwi i jeszcze mu dałem kopa.

Była organizacja samopomocy w obozie w Norylsku. Zbieraliśmy pieniądze i chorym. i posyłaliśmy kobietom, które nie wyrabiały normy. Ale to nie była organizacja polityczna, co polityczna organizacja miałaby tam robić. Była to organizacja Polaków. Nosilem te pieniądze, ponieważ chodziłem do innych łagrów na remonty i zawsze mogłem sobie wyrobić przepustkę.

Ode mnie zależało, jakie urządzenie sanitarne będzie stało w wybudowanym domu, czy na przykład wanna duża, czy mała. Przychodził do mnie kapitan czy ~~major~~ major:

- Czego chcecie?

- Chcę legalnie wejść do tego i tego łagru. /żeby zanieść pieniądze Polkom/.

On dawał konwój i ja sobie szedłem gdzie chciałem.

Kiedy umarł Stalin dekorowałem plac , na którym miała się odbyć defilada pogrzebowa. Wypisałem zapotrzebowanie: dwa tysiące metrów czarnego materiału, białego. Później wszystko to zerwał wiatr, ale paręset metrów tego zostało, z czego parędziesiąt odnieśliśmy kobietom.

W 1953 roku byłem w obozie nr 5. To był Gorlag. Pracowałem na Gorstroju przy budowie miasta. Z ~~na~~ obozu do miejsca pracy były 3 kilometry szosa. Trzeba było masy konwojentów, żeby przeprowadzić 5.000 ludzi, policzyć itd. Zrobiłem więc projekt racjonalizatorski: zbudować budki strażnicze po jednej i drugiej stronie drogi i postawić w nich strażników. A ludzie będą iść ~~dużą~~ drogą - nie czwórkami, nie

piątkami, nie trzymając się za ręce. ~~xxxxxx~~
Kto zejdzie z drogi, do tego będą strzelać, jak strzelali zwykle.
Projekt został wykonany, a ja dostałem ~~xxxx~~ kupon na ubranie za tę racjonalizację.

Obóz nr 5 był za miastem. Leżał w piątym kwartale miasta. Trzy kwartały były zbudowane, czwartego nie było, a piąty zbudowali dla huty miedzi. Domy były wszystkie jednopiętrowe, zrobili z nich łagier. Centralne ogrzewanie było i wszystko, tylko nie było ustępów i kanalizacji, i ścianek działowych. Łatwo było później te domy ~~przekształcić~~ przerobić na domy mieszkalne, na mieszkania.

Bunt wybuchł po śmierci Stalina, w czerwcu 1953 roku. Trwał do sierpnia. Byłem wtedy w obozie nr 5. Bunt zaczął się najpierw w miejscu pracy, na Gorstroju. Powiedzieliśmy, że wracamy do obozu i więcej do pracy nie pójdziemy. I wszyscy wrócili do obozu.

W Gorstroju, na miejscu pracy wszystkie telefony działały - do innych łagrów, do innych miejsc pracy. ~~xxxxxx~~ Wszędzie byli więźniowie - i tak było to zorganizowane, że wszędzie postulaty były takie same! W każdym obozie! Wszystko było ustalone.

Tymczasem w łagrze wszystkie kraty w oknach i sztaby w ~~drzwiach~~ drzwiach baraków pozrywano. Był jeden chłopak z Oszmiany bardzo silny, pożyczali go do ~~xxx~~ zrywania sztab. Żeby nie było wiadomo, kto to, wkładał cudzy buszlat z innymi numerami. Miał obstawę i zrywał sztaby, okręcał na ręce. ~~Nazywał~~ Nazywał się Bogdanowicz. Był najsilniejszy w całym łagrze. Kiedyś przyszedł do mnie: "Panie, niech mi pan narysuje orła."

- Jakiego orła?

- Chcę tu na piersiach wytatuować sobie orła.

Miałem pięćdziesięciogroszówkę polską z orłem, przerysowałem go, powiększyłem do wielkości ok. 30 centymetrów i jemu tego orła nakłuli.

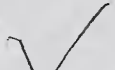
Kiedy siedzieliśmy w obozie, tydzień byliśmy bez łączności. Ale nic nie było nowego, wszystko było ułożone przedtem. Raz kierowca powiedział nam, że w czwartym obozie również jest bunt. Więcej styczności z wolnymi nie było. Na jednej z wieżyczek siedział strażnik Uzbek, a w obozie jednym z więźniów był też Uzbek. I strażnik mówił, w których obozach są bunty, mówił temu rodakowi, a ten przychodził do mnie i powtarzał wszystko.

Podczas buntu była w obozie milicja, sądy, wszystko. Organizowali to Ukraina^{cy}, myśmy trzymali się z daleka. Rozmawialiśmy, radziliśmy im, wzywali często doktora Matoszkę albo mnie. Byliśmy reprezentantami Polaków i doradcami. A przed-tem jeszcze, w kopalni spotkałem się z ukraińskimi profesorami, którzy radzili nad wolną Ukrainą. Był tam m.in. profesor Wasilewski, ich premier. Zapytałem go, jakie chcą mieć rządy. Odpowiedział: siczowe. Powiedziałem, że są idioci.

Codziennie wydawano wyroki na szpicli. W obozie Nr 5 było chyba 5 wyroków, wykonywali je Ukraińcy. Ponieważ nie było Polaków oskarżonych o donosicielstwo, trzymaliśmy się od tego z daleka.

Siedzimy 10 dni w obozie - podział: każda narodowość dostaje swoje zadania. Mieliśmy zdobyć wieżyczki, zdobyć broń - na wieżyczkach stoją karabiny maszynowe. Terminu na to nie było, kiedy będzie okazja, wtedy wszyscy pójdą niszczyć ogrodzenie i wieżyczki.

Nam wyznaczyli dwie wieżyczki, bo nas było więcej. Litwinów było mniej i im wyznaczyli jedną. Nam wyznaczyli wieżyczki najgorsze - przy drodze, którą mogły jechać samochody z wojskiem. Ja powiedziałem: - Robicie bunt - to jest sowiecki bunt. W tej wojnie nie będziemy się bić o najgorsze wyżki!



~~Wydruk~~
Słychać było strzały - likwidowali obóz "piętnastolatków", więźniów z piętnastoletnimi wyrokami. Tam siedzieli sami oficerowie ruscy. To był obóz katorżny, bez numeru. Wyniszczyli tam wszystkich. Dwa dni artyleria grzmiała, moździerz. Wytłukli tam wszystkich.

Mówiłem Ukraińcom - oni wiedli prym, było ich w obozie najwięcej:
- Słyszycie, co się tam dzieje? Co zrobimy?(kiedy do nas zaczną strzelać z armat)

W czasie buntu Polacy wyróżniali się - byli nastawieni minorowo, nie obchodziło ich to - co będzie to będzie, gorzej nie będzie niż było. A Rosjanie i Ukraińcy buntowali się strasznie. Oni myśleli, że zrobią rewolucję. Zrobili taką rewolucję, że ich uznali za wrogów narodu i porozwozili. Nas to nie obchodziło - i tu i tu daleko od Polski. Jaką korzyść mogliśmy mieć z tego, co oni w Rosji zrobią? A zwolnienie nas do Polski jako obcokrajowców było nie do pomyślenia. Przecież oni mówili, że nie ma Polaków. Nie ma i koniec.

Organizatorzy buntu proponowali nam, żebyśmy w nim uczestniczyli czynnie. Matoszko nie wiedział co powiedzieć, ja powiedziałem - nie, w żadnym wypadku nie. Nie możecie nam nic zaoferować. Możemy tylko zachowywać się jak więzienna społeczność ^{NWAZNIE} - wy będziecie ginąć i my będziemy ginąć. Wy pójdziecie wojować i my pójdziemy wojować. Nie zawieziemy solidarności obozowej, ale nic więcej od nas nie żądajcie, bo nic nam nie możecie dać i nawet obiecać.

Taka rozmowa odbyła się z pięć razy, co drugi dzień.

Niech przyjedzie ktoś, kto może decydować w ZSRR - takie żądania były we wszystkich łagrach. Bo były setki ludzi, którzy odbyli wyrok, a nie puszczali ich z łagru. Nie puszczali, "bo wojna". Wojna się skończyła - a oni jeszcze siedzą, osiem-dziewięć lat ponad wyrok! Nie wypuszczali inwalidów. Ten, kto nabył inwalidztwo w obozie, tych trzymali na

wynarcie, nie wypuszczali, bo na wolności muszą dać im opiekę, emeryturę czy coś.

Przyjechał z Moskwy Panikow, były dyrektor wszystkich łagrow w Norylsku, przed Zwierowem. Powiedzieli, że nie chcą z nim gadać. Przyjechało parę samochodów pod wartownię:

- Kto?

- Panikow.

- Nie wpuszczimy do łagru.

W łagrze nie było nikogo z władz prócz naczelnika łagru, on miał prawo wchodzenia do obozu. Reszty nie wpuszczano.

Później przyjechał Wszyński, generalny prokurator. Jego wpuszczili. Wszyscy się zeszli, nasza delegacja. Ustawiono stół na placu. Za stołem było sześć narodowości. Polaka żadnego, powiedzieliśmy: Polak żaden gadać z nimi nie pójdzie! Byli Litwini, Łotysze, Uzbegy, Gruzini, Ukraińcy i Rosjanie. Z drugiej strony, między pułkownikami stał Wszyński.

Powód tego, że nie uczestniczyliśmy w rozmowach był taki, że choć oni uważają nas za swoich, Polacy nic do tego nie mają - jesteśmy obco-krajowcami. Było nas w tym łagrze ponad dwustu. W innych łagrach też żaden Polak nie brał udziału w rozmowach, i nie dlatego, że nie wyznaczyli, ale nikt nie chciał.

Były postulaty z dowodami. Na przykład: można było raz do roku pisać listy, a strażnicy kładli te listy do worka i palili w kotłowni. Parę worków takich nadpalonych listów wykradzono i przyniesiono na rozmowy. Stały te worki obok delegacji więźniów.

Sądzone wbrew konstytucji ZSRR trzynasto- i czternastoletnich. Jak "trójka" sądziła, to w porządku, bo oni mogli każdego osądzić, nawet oseska. Ale sąd czy trybunał nie miał prawa sądzić nieletnich.

Tyle i tyle było osób bezprawnie zastrzelonych - wyciągniętych z kolumny i pod pozorem, że niby uciekali - strzelano do nich.

Kiedyś podszedł strażnik do kogoś z kolumny, zrzucił mu czapkę: "Podnieś". Tamten wystąpił z kolumny, żeby podnieść czapkę - strażnik strzelił. Na co drugim wyjściu do pracy kogoś w ten sposób zabijali.

Na terenie łagru był szpital. Kierownikiem szpitala była kobieta, lekarka. Przycisnęli ją...

Wszystkich zastrzelonych ona rejestrowała jako zmarłych. Nie było zastrzelonych! Ona była w czasie wybuchu buntu na terenie obozu - dali jej trochę w skórę i zeznała: Ten i ten został zastrzelony, taki a taki znak jest A napisane w aktach - umarł śmiercią naturalną.

Na miejscu pracy, zanim jeszcze wszyscy uciekli do łagru, ^{była} podstację elektryczną. Złapano gościa - z numerami - jak go zrewidowali, znaleźli legitymację (nie mógł się rozstać z legitymacją!) i okazało się, że kapitan NKWD. Pędzili go do góry:
- Kto kazał zrobić dywersję tutaj?

Raz, drugi o posadzkę - siadaj teraz i pisz: wszystkie odznaczenia, kto ty i że dobrowolnie piszesz, że ten i ten kazał zrobić dywersję tu i w innych obozach, że tutaj szpital podpalony... Dokument jest, podpisany, numer partyjnej legitymacji. Dano mu kopię i wypuszczone go. A dokument, który on napisał, też leżał na stole w czasie rozmów z Wyszyńskim.

Był taki moment, że NKWD chciało obóz pacyfikować. A wojsko odmówiło. Zebraли więc wszystkich oficerów z administracji, straż ognia - i pojechali do obozu. Zrzucali zwoje drutu, żeby oddzielić barak od baraku. Ale ludzie byli zorganizowani, pocięli zaraz węże straży pożarnej. Oni zaczęli strzelać z pistoletów - automatów nie mieli, tylko pistolety - nie mieli rozkazu strzelać, tylko w wypadku samoobrony. Ale oni zaczęli strzelać. Jeden więzień upadł trafiony, drugi, więc ludzie się rzucili, zabrali im broń, stłukli tych oficerów. Tych dwóch zabitych trzymali w pomieszczeniu, w chłodni, a później pokazali Wyszyńskiemu. Oddali broń, wystrzelone trzy naboje, zabici ludzie są - wszystko było udowodnione jak trzeba.

Pytał się Wyszyński, kto jest jakiej narodowości. Każdy mówił. Najwięcej mówił w tej grupie Rosjanin, dużo i dobrze, elegancją, czysto po rosyjsku, z sensem. Podeszedł do niego Wyszyński:

- Pokażcie swoje ręce - mówi.- Widać, że nie człowiek pracy.
- A wy pokażcie swoje ręce - mówi tamten. Wyszyński schował ręce za siebie - Nie pokażecie, bo one w krwi!

Dostał wielkie brawa, bo dookoła pięć tysięcy ludzi stoi i słucha!

Chodziło też o rozliczenia. Były zniżki cen, a więźniom pisano i liczone ~~wskazywanych~~ koszty utrzymania w starych cenach. Kiedy wprowadzone nowe pieniądze, to najpierw były wysokie ceny, a potem zniżki cen przez trzy lata, co pół roku zniżka. Doszło do tego, że ceny spadły o połowę. A więźniów rozliczano po cenach wojennych.

Sprawdzono księgowych z obozu, są dokumenty, proszę zobaczyć. Dlaczego liczyacie za chleb i rybę i mąkę tyle, kiedy kosztują mniej?

Kiedy była wymiana pieniędzy, wszystkim wymieniano 1:2, powyżej paru tysięcy po gorszym kursie, a powyżej stu tysięcy po kursie 1:10. Więźniom wszystkim wymieniono po tym najgorszym kursie. Oni nie mieli dużo pieniędzy, ale po tysiąc rubli...

Powiedziano im: "Dawajcie od razu decyzję, że ci, co przesiedzieli ponad wyrok - było takich w obozie stukilkudziesięciu - jutro muszą wyjść." I wyszli następnego dnia.

Było też dużo drobnych spraw: ubrania, kraty (żeby zdjąć - a one już były zdjęte) i wiele innych.

Poszliśmy do pracy. Wracamy z pracy - na drodze do obozu stoją z karabinami maszynowymi. Wszystkich na kolana, podchodzić piątkami. Stało pięciu kapitanów-majorów z wykazem i - albo na prawo, albo na lewo.

Szedłem z Wójcikiem, bo nasza brygada była zerowa. Zamieniliśmy się płaszczami - on wzięł z moim numerem, a ja z jego numerem. Podchodzę - nawet o nazwisko nie zapytał: "Szumski - na lewo". A Wójcika przepuścił do obozu. Później było tam u nich bicie, różne historie.

Do ataku na wyżki nie doszło.

Do "piątki" wpuszczono złodzieji i więźniów IRL, z pałkami. Była tam bijatyka, zaczęli rządzić bandyci.

Rosjanie dobrze wykorzystywali konflikty między złodziejami a politycznymi, napuszczając jednych na drugich.

Oficerowie, którzy byli z Wyszyńskim mieli magnetofony - wszystko nagrywali, robili zdjęcia. Później naszych delegatów na rozmowy też wykosili.

Nas wywieźli, a ich zostawili w obozie. I oni w obozie zginęli.

Wszystkich inżynierów, brygadzystów i całą inteligencję oddzielili, na samochody i wiozą gdzieś w tundrę. Wiedzieli, że bunt zrobili nie prości robotnicy.

Wiozą nas. Krzaki, tundra, już nie ma drogi, ale dalej jedziemy. My już się umawiamy - nie byliśmy związani - w samochodzie siedzieliśmy nas trzech Polaków, reszta Ukraińcy. "Wysiądać, przechodzić rzekę wbród".

- Nie pójdziemy. Macie strzelać, strzelajcie, nie pójdziemy.

A już wcześniej podzieliliśmy się, bo konwój można było wyniszczyć. Pół godziny trwały te rozmowy, że nie pójdziemy do wody, ale potem patrzymy - na drugiej stronie rzeki wychodzi z krzaków kapitan w mundurze i mówi:

- Słuchajcie, tu jest dla was nowy łagier. Prowadzimy was tam.

Paru przeszło rzekę, otoczyło kapitana - że jak będą strzelać, to i on zginie - i przeszliśmy wszyscy przez tą rzekę.

Poprowadzili nas do łagru ^{„Kupiec”}. Nigdzie nie był naniesiony, przedtem nikt tam nigdy nie mieszkał. Ale baraki już były, kuchnia, wszystko.

Nie chcieliśmy wchodzić tam. Patrzymy - z innych obozów już poprzywozili ludzi. Różanowski krzyknął do mnie: "Heniek, możecie wchodzić, tu nic się nie stanie". On już był dwa dni w tym obozie.

W tym łagrze zebrało się około 1,5 tysiąca ludzi. Dojeżdżały samochody z żywnością, nasi odbierali tę żywność, gotowali. Siedzieliśmy

tam 7-10 dni. Później przyszedł jeden taki, bez munduru, ale widać było oficerskie spodnie i buty:

- Chcecie tu długo siedzieć? - mówi.

- Nie chcemy.

- Rodziny wasze nic nie wiedzą. Listy piszcie. - i rozdziela papier, koperty i znaczki - Ja jutro przyjdę po te listy. Oficerskie słowo honoru, że te listy będą wysłane. (ich słowo oficerskie było warte...)

Przyszedł następnego dnia zabrać listy. Był ich cały plik. Wyskończył ktoś z komitetu obozowego:

- Przyjdź jutro po te listy - mówi temu oficerowi i zabiera te listy.

Okazało się, że NKWD wpuściło do tego obozu lekarza-Łotysza i Rosjanina, którzy opisali, kto jest prowodyrem. Sąd skazał ich na śmierć przez powieszenie. Wszystkie listy zostały przeczytane i znaleziono dwa, gdzie było opisane, kto jest przywódcą... Może były jeszcze zaszyfrowane takie informacje - tych dwóch napisano wprost.

W suszarce, na hakach jeden drugiego wieszali. Na hakach, jak tych, co zrobili zamach na Hitlera. Na drugi dzień zdjęli ich, trumny zrobili. Oficer przychodzi po listy - wszyscy z powagą, śpiewają prawosławne pieśni, "o, ludzie tutaj wieszają się, takie warunki...". Takie przedstawienie zrobione, jak NKWD robiło. Zabrali trumny i resztę listów. Wiedzieli, o co chodziło...

Później nas pieszo do torów (stacji nie było),

w polu zatrzymała się kolejka, załadowali nas i zawieźli do Dudzinki. To był koniec buntu. Dla nas koniec. To był koniec lipca, ciepło było.

Nie przypuszczam, żeby bunt zrobiło NKWD. Takie zniszczenia, przerwa w pracy - to nie było w ich mentalności, w ich interesie.

Cały obóz został przewieziony do Dudzinki, i jeszcze więcej ludzi. Cały olbrzymi pociąg był załadowany więźniami. W Dudzinki wieźli nas na barkach Jenisiejem. Tam nas wykąпали i cały pociąg - także ludzie

z innych łagrów: Lesłag, Gorłag. Akurat skończyła się wojna rosyjsko-japońska i wracali do domów Rosjanie. Dwa pociągi - nasz i tych żołnierzy - stoją obok siebie. Tam byli akurat marynarze, pytają się: Wy kto?

My przez okienka odpowiadamy.

- A u was na wagonie napisane, że wy : "wrogi naroda".

Przeciagnęli deskę do naszego okienka i po desce wrzucali nam papiero-
rosy, tabakę. Po chwili awantura, strzelać zaczął strażnik. A oni: Jak
jeszcze raz wystrzelisz, to my ciebie tu zarąbiemy! Strażnicy przestra-
szyli się - tamci przecież z wojny wracali! - puciekali, zaraz potem
pociąg ruszył.

My nie wiedzieliśmy do tej chwili, że oni nam napisali na wagonie
"wrogi naroda". Ujechaliśmy za miasto - zaczęliśmy kiwać
wagonem. Wykoleiliśmy jeden wagon. Sześćdziesięciu ludzi w wagonie -
można go rozbijać i wykoleić. Powiedzieliśmy: "Wszystkie wagony będą
wykolejone, jeśli nie zetrzecie z wagonów napisów". Zamalowali. Nie
wierzyliśmy, więc wyprowadzali trzech z każdego wagonu, żeby sprawdzili.
Ruszyliśmy. Na drugiej stacji znów nam napisali to samo.

Płynęliśmy z Buchty Wanino, specjalnego portu łagrowego. Były o
nim piosenki, wiersze. Był koniec września, a tam jeszcze ludzie opala-
li się, ciepło było, przymorski kraj, inny klimat.

Jak przyjechaliśmy do Magadanu, jeden łagier opróżnili z miejscowych
więźniów - "buntownicy przyjechali!". Wtedy już byliśmy bez numerów.
A w Magadanie były jeszcze numery.

W Magadanie ^(po paru dniach) powiązali nas - bo "wrogi naroda" - i klęcząc, w ciężaro-
wych samochodach zawieźli nas 806 kilometrów dalej na północ.

Na Kółymie pracowałem przy kopalni złota. Była ona zbudowana przez Amery-
kanów. Rosjanie wykupili kopalnię dopiero po 37-ym roku. I jak to ruscy,
piękne, nowoczesne maszyny - zdewastowali. Kopalnia była przy miejscowości

Utiłnyj Stan . Był to kombinat wydobywania złota. Pracowałem tam prawie rok przy kieracie, który mełł rudę. Tam odliczali z wyroku najwięcej dni za każdy dzień przepracowany. Trzy dni za jeden dzień pracy. Ale w rezultacie nie odjęli mi nic z wyroku, a jeszcze dodali - wyszedłem po 10 latach i 7 dniach.

Pracowałem też w kopalni. Były dwie podstacje elektryczne, zewnętrzna i wewnętrzna, 8 kilometrów w głąb kopalni. Między nimi kursowały wagonki z rudą, a ja siedziałem na podstacji, na wypadek wykolejenia się kolejki. Czytałem książki, a raz na tydzień przez ¹²cztery godziny siedziałem na podstacji wewnętrznej w kopalni. Człowiek siedział sam, tylko drzwi i narzędzia a dookoła ciemno. W lecie kopalnia miała swoje poligony w miejscach, gdzie rzeka przecinała żyłę. Stawiano tam 8-10 spychaczy i tak zwane eskubery, tj. takie urządzenie przesiewające złoto. Spychacze nagarniały piasek na te urządzenia. Z jednego takiego miejsca uzyskiwano dziennie ok. 30 kg złota. W ten sposób uzyskiwano złoto w sezonie letnim.

Widziałem trzykrotnie transport złota do Magadanu. Dziesięć ciężarówek po 3,5 tony nośności każda. Złoto przewożono w skrzynkach, wielkości formatu A-4,. W każdej skrzynce były 4 sztabki wysokości 8 cm. o wadze 12,5 kg każda. Skrzyneczki były okute, każda ważyła 50 kg. Kiedy ciężarówka wioząca złoto jechała, wydawało się z zewnątrz, że jest pusta. Skrzynki były ułożone równo na podłodze.

Oprócz złota wywożono również rudę uranową. Skąd ją wydobywano nie wiem. Wiem tylko, że kierowcom, którzy tę rudę wozili dopłacano 50 % zarobków, i za złotą też dopłacali tyle samo. Za benzynę dopłacano 25%. Do transportów używano czeskich ciężarówek Tatra.

Kierowcy to była szlachta. Zarabiali 11-12 tysięcy rubli m-cznie. Również nie spali, robili 10-20 kursów m-cznie. Mieszkałem niedaleko samochodowej bazy, gdzie każdego przejeżdżającego kierowcę sprawdzali: "Ty już jedziesz drugą dobę, spać". Kierowca dawał ćwiartkę spirytusu i jechał dalej.

Żeby nie spać każdy kierowca pił czyfir, specjalnie preparowaną herbatę ~~z kawy i cukru~~ - ze stu gram herbaty robił pół szklanki.

Pije się to bez cukru - na czubek języka sypie trochę soli i popija.

Jest to straszny narkotyk. Po wypiciu dwóch, trzech łyków czyfiru jest nieprzytomny dwie minuty, a potem normalnie jedzie. Starzy kierowcy światłami dawali sobie znać czy mają czyfir. Jak jeden miał - na pewno się zatrzymywał. Żeby ugotować czyfir, trzeba było spalić całą oponę od Tatry. Były tych spalonych opon wszędzie niezliczone ilości.

Nikt nie konwojował tych transportów, kierowca odpowiadał za cały ładunek. Były tam kradzieże, o jakich jest u nas nie do pomyślenia.

Kiedy zostałem zwolniony z obozu zacząłem budować osiedle. Zostałem kierownikiem budowy tego osiedla. Mieszkałem u brygadzysty, którym był Polak, Bogdanowicz, którego znałem jeszcze z Norylska.

Potem wzięli mnie na kurs budowy schronów atomowych. Dyrektor fabryki samochodów osobowych /właściwie oni naprawiali samochody, ale wychodziły od nich jak nowe/ kazał mi się zgłosić do jakiegoś majora, specjalisty od budowy schronów. On mi powiedział:

- Będziecie budować schrony pod fabryką.

- Gdzie są projekty?

- Projekty są u mnie pod kluczem. Będziecie przychodzić i tutaj zapoznawać się z planami.

A co ja mogę zapamiętać? Notować nie można. Żle coś zbuduję - wsadzą
mnie, po co mi to? Zaczyna się budowa, przychodzi do niego:

- Dasz mi dokumentację czy nie?

- Kursu nie skończyłeś.

- Dobrze, skończę . - I poszedłem na kurs.

Na kursie było 30 osób, i jeden¹⁸ więzień. Ale ja wiedziałem więcej niż
wszyscy oni razem więźci. Po egzaminie kazano mi przywieźć z Magadanu materiały
i urządzenia do budowy schronów pod tą fabryką. Problemów z budową była masa -
fabryka była przeniesiona z Niemiec, "trofiejna", nie była przystosowana do
warunków dalekiej północy.

✓ Magadan znam dobrze, jeździłem tam w delegacje, nawet jako więzień,
a jako zesłaniec byłem w Magadanie co tydzień. Było tam masę Polaków.

Prowadziłem roboty, więc na moim koncie były miliony rubli. Któregoś dnia
naczelnik fabryki poprosił mnie:

- Pożycz mi dwa miliony rubli. Pojedziemy do Handel-Banku, tam jest twoje
konto.

I pojechaliśmy, on przelał te pieniądze na konto fabryki - i miał z czego za-
płacić robotnikom. Dwa razy tak pożyczał pieniądze, ale zawsze oddawał.

Mógł mnie zatrzymać na Koluymie. Pokazywał mi zarządzenie. Miał prawo na
mocy tego zarządzenia zatrzymać człowieka, który ^{NAWET} nie miał wyzewu, a który był
mu potrzebny do wykonania planu. Powiedział mi to kiedy się żegnaliśmy i
dziękowaliśmy sobie za współpracę:

- Ty wiesz? ja ciebie mogłem zatrzymać...

- Ale ty nie jesteś świnia.

Nazywał się Gołubow, inteligentny człowiek, tylko pił spirytus, a zapijał szampanem. Miał w biurku butelkę spirytusu i szampana. Czy alkoholik?

Tam, na północy nie liczyło się, czy alkoholik, na północy trzeba było pić. Tam wszyscy piją, na dworcach, w kioskach sprzedaje się spirytus.

W Noryłsku przed Biurem Projektów był kiosk, sprzedawano tam po szklance spirytusu, do tego kanapka z kawiolem, żeby drożej zapłacić. Kolejka przed tym kioskiem była na sto metrów, stały nawet damy w eleganckich futrach.

Ale tam spirytus nie "bierze" tak człowieka jak w normalnym klimacie.

A w kolejce wyglądało to tak: wypił, idzie na koniec kolejki, i tak dalej.

Kiedy zamykano kiosk dookoła leżało 6 - 7 osób. Taka jest mentalność sowieckiego człowieka. Kiosk był bardzo mocno ogrzewany, bo spirytus sprzedawano na miarę, a w gorącu spirytus rozszerza się.

Część Polaków została w Noryłsku, a nas wywieźli na Kołymę. Potem niektórzy z tych, co zostali w Noryłsku wrócili do Polski wcześniej niż my. Jeden z nich powiedział mojej żonie, że zginąłem w wypadku samochodowym. Tak kazało mówić NKWD. A ja byłem wtedy na Kołymie, pracowałem w fabryce samochodów osobowych.

Na Kołymie pracowałem w fabryce samochodów osobowych. W cechu odlewniczym przedziewiały dźwigary. Zrobiłem projekt remontu i przesłałem do Magadanu do biura projektów. A tam pracowało dwóch Polaków - Turski z Wilna i Edward Stefanowicz. Przyjeżdża do mnie Turski - już nie był więźniem - i mówi:

- Maja familia Turski.

- A ty dlaczego do mnie po rosyjsku mówisz? Ja Meszczyński, z naszej brygady wileńskiej. Ty masz z Polską łączność?

- Stefanowicz na łączność. Pisze depesze - 25 kopiejek jeden wyraz, otrzymuje odpowiedź z Polski na drugi dzień.

Poszedłem na pocztę, była tam Gruzinka, moja przyjaciółka.

- Czemuś ty nie powiedziała, że można do Polski depeszę nadać?

Na drugi dzień dostałem od szwagra z Polski odpowiedź. Napisałem, żeby mi przysłałi wyzew. Już od roku byłem wolny, byłem na zesłaniu.

Napisałem cały elaborat do polskiego konsulatu w Moskwie - że obywatelstwa radzieckiego nie przyjmowałem, że w Polsce uredzony itd.

Odpowiedź dostałem na małym karteluszk - obywatel może ubiegać się o wyjazd do PRL po zakończeniu okresu zesłania. A ja miałem zesłanie dożywotnie! Podpisała Irena MORAWSKA....., żona jednego z byłych prominentów z Biura Politycznego.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z Kołymy, wybrano mnie szefem transportu. W pierwszej kolejności wyjeżdżało nas stamtąd 200 osób.

1956h.
Kiedy nas ładowano na statek w Magadanie, było już ciemno - noc polarna, październik, pada śnieg. Statek spóźnił się 10 dni. Kiedy ładowaliśmy się na statek, jeszcze nas sprawdzali: z WOP-u gość, z NKWD, ~~ixjxjxkxkixxwixk~~ jakiś cywil i ja jako kierownik transportu. Staaliśmy przy trapie. Zrapaliśmy jedną dziewczynę - bez żadnych dokumentów, nie miała prawa wyjazdu. Ona i jej siostra miała wyzew, ale jej nie puścili, bo była jedyną cholewkarką w fabryce obuwia. Ona nas odprowadzała. Powiedziałem jej: "Wsiadaj", dałem swój bilet i ona wsiadła na statek. Później - trzy sygnały, statek ma już odpywać - ona chce zostawać, bo "nie zlikwidowałam mieszkania". Co tam masz?... I w Chabarowsku, jak sprawdzali dokumenty, rozmieścili nas w czterech hotelach, do każdego hotelu przydzielony był jeden oficer, który znał język polski, ale nie zdradzał tego - i w Krasnojarsku, i przez dwie granice udało mi się ją przemycić i wróciła do Polski.

Jechali z nami Ukraińcy, którzy zachowali polskie dokumenty. Dzieci tych Ukraińców uciekały po drodze. Syn jednego uciekał trzy razy, dwa razy go Rosjanie odstawiali z powrotem, za trzecim razem udało mu się uciec. Ale jego ojciec do Polski wrócił, mówił: ja w Polsce urodzony. A miał w Rosji duże gospodarstwo, bo Chruszczow wydał kiedyś zarządzenie, że kto zakłada gospodarstwo na Syberii ten przez 5 lat jest zwolniony od płacenia podatków. Więc on zakładał olbrzymie gospodarstwo, hodował krowy, sprzedawał mleko, a po 5-u latach - przenosił się 50 km dalej i znów był wolny od podatków. Ten Ukrainiec robił takie przenosiny 5 razy. W pociągu pytał mnie, co kupić, bo przecież rubli nie wywiezie. Na każdym postoju kupował, co mógł, kupił na przykład 5 motocykli, bo nie było nic innego! Po raz ostatni we Lwowie pojechałem z nim i kupiłem 4 butelki wódki.

Na granicy stoimy cały dzień - sprawdzenie dokumentów, wszystko, tylko nie ma wódki ani spirytusu. Stoimy na peronie: pułkownik NKWD z Moskwy, kapitan inspekcyjny, szef Urzędu Celnego, /podobny do admirała/ i ja. Pułkownik mówi: - Trzeba wypić.

- Załóż się o 50 rubli - mówię na to do celnika - że za pół godziny będzie tu pół litra.

- Tu nie tacy byli, i nie udało się im nic zdobyć. Sam ^{le M}próbowałem...

I założyliśmy się. Poszedłem do mojego przedziału /mogłem się poruszać po dworcu, bo miałem papier, że jestem kierownikiem transportu/, wyciągnąłem z walizki dwie butelki, schowałem i wróciłem na peron. Poszliśmy do wagonu pewnej lekarki, wypiliśmy wódkę, ona postawiła szampana. W pewnym momencie szef urzędu celników mówi:

- A mnie się wydaje, że ty masz jeszcze jedną butelkę wódki ! - na to ja wyciągnąłem butelkę, a on krzyknął - jeszcze tu taki nie jechał !

Skończyliśmy pić, zaczęło się sprawdzanie dokumentów. Pułkownik, kapitan i ja chodziliśmy od przedziału do przedziału. Zabierali wszystkie dokumenty radzieckie, z każdego aparatu fotograficznego wyciągali klisze, a na liście ludzi jadących w transporcie, przy każdym człowieku, którego już sprawdzili, stawiali znaczek. Każdy z nas miał inny spis, inną listę, i każdy stawiał te "ptaszki". Przeszliśmy do przedziału, w którym jechała dziewczyna bez dokumentów, ta zabrana przeze mnie na statek w Magadanie. A jej siostra jechała w innym przedziale, gdzie już byliśmy i przy jej nazwisku Enkawudziści postawili już znaczek.

- Nazwisko - pytają ją.

A ja powiedziałem jej wcześniej żeby mówiła imię siostry. I ona tak powiedziała. Enkawudziści zdziwieni:

- Przecież ona już była !

- To wy tacy pijani - śmieję się - u mnie jest nie zaznaczona, ja teraz dopiero stawiam znaczek! !

I poszliśmy dalej. A ona już w majtki robiła.

Codziennie wyrzucaliśmy z pociągu za nogi i ręce 2-3 złodzieji.

Weszło kiedyś do wagonu dwóch, jeden niby ślepy, drugi niby głuchy. Chcieli "powróżyć", jak doszło co do czego - wyciągnęli nóż. Zawołaliśmy milicję. Pociąg ruszył - a tych dwóch było już z powrotem, więc otworzyliśmy drzwi, nasyp był wysoki... Kiedy już na granicy polski oficer pytał pułkownika NKWD, czy nas nie niepokojono, tamten odpowiedział: Oni się nie dali niepokoić.

Granicę Polską przekroczyłem w grudniu 1956 roku. Granica wyglądała tak - stoi dom w polu, z tamtej strony kryty strzechą, a z naszej blachą.

U Z U P E Ł N I E N I A
do relacji pana Henryka Meszczyńskiego
nagrane 6.05.91 w Gdańsku przez Tomasza Gleba
wersja zautoryzowana



N O R Y L S K

Plan Norylska był u nas, jedyny plan budowy zrobiony przez Niepokójczyckiego. To był plan dwa na dwa metry, na rolce, zasłaniała się go i plombowała. Trzeba przyznać, że każdy projekt wykopu pod fundament był przyjmowany przez geodetów - na jakiej głębokości, jaki fundament...Pod jeden dom robiono 230 fundamentów, słupów.

Beton podgrzewano, bo na zmarzłym gruncie zamarłoby i koniec. Prąd był doprowadzony, elektrody i beton zastygł, a nie zamarzał.

Prócz tego planu myśmy taki tajny plan mieli. Trzech nas wiedziało: jeden Estończyk, geodeta, mój zastępca i ja. Jak myśmy przyszli na miejsce budowy nuty miedzi: co zrobić? czym ludzi karmić? Więc półtora tysiąca metrów sześciennych skały "ukradliśmy". Bo wszędzie były rapery - państwowe punkty wysokościowe, zabetonowane i numerowane. One były w państwowym zeszycie. Oni obliczali ich wysokość posuwając się w obliczeniach od Morza Ochockiego!...Od Morza Ochockiego zrobić ciąg geodezyjny, to można się pomylić nawet o kilka metrów.

I, niby kładąc kable, podnieśliśmy raper o 20 centymetrów, co po obliczeniu dawało 1.500 metrów sześciennych skały. Tam

więcej; jeszcze było, ale te półtora tysiąca było "do naszego przydziału", żeby dopisać wykonanie norm. Sobie, kierownikom... Mieliliśmy tajny "czarny" zeszyt, chowaliśmy go stale. Stamtąd czerpało się informacje, ile zostało... Tej brygadzie 50 metrów skały dopisaliśmy, innej brygadzie 100... Żeby deficytu nie było, żeby była wyrobiona norma.

Jak później wysadzali skałę, to ten sam raper stalową siatką owinęli, żeby nie pękł, żeby go nie wyrwało! Udało nam się - jest raper, ogrodzony, zabetonowany...

Najlepszy plan myśmy mieli, to znaczy wykonawstwo, *Gorstroj*. Ale to było tylko same miasto, to nie było wszystko - nie było nic z przemysłowej części miasta. Tylko gdzie brama, gdzie teatr... Planu ogólnego nie było. Planu Rudnika 3-6 nie było w ogóle.

Niepokojczycki dostał dwie nagrody na najlepszą zabudowę miast. Strasznie był skryty. Jego żona Natalia Prokofiewna mówiła: *"On haroszyj czełowiek. no ja jowo nie ponimaju!"*.

Trzy lata temu Wójcik miał z nim korespondencję, pokazywał mi nawet. Niepokojczycki miał mieszkanie w Leningradzie, z Norylska pojechał do Leningradu. Ale on pisał listy tak, żeby nikt nie domyslił się czegoś.

Norylsk miał na pewno "wymiały" 10 na 15 kilometrów, to jest 150 kilometrów kwadratowych. Tyle wiem z planów, ale mógł mieć więcej.

Norylsk dzielił się na dwie części: mieszkalną i przemysłową. Tam były odlewnie, kuźnie, warsztaty. Część mieszkalna, *Gorstroj*, też dzieliła się na dwie części: część dla władzy i część dla mieszkańców.

Obozów w Norylsku było wiele. Niektóre były numerowane,

inne nie. Nienumerowane były: obóz rosyjskich oficerów, Kalarzon, obóz, gdzie leczyli syfilityków. Tam do nich kobiety przywieźli, oddzielili je i tam im, jak one mówiły, remont kapitalny robili.

Lagier "pietnastoletnich" - tam sami oficerowie radzieccy siedzieli. W 1953 roku oni zbuntowali się, bronili, ich tam dwa dni rąbali. Użyto czołgów. To był obóz bez numeru.

Z Jeziora Długiego był kanał i stąd brali wodę do elektrowni. Tam można się było kąpać w lecie, a zimą tam para leciała. To jezioro nie zamarzało.

Przemysłowa część Norylska była zagrodzona, nikt tam nie mieszkał; to było tylko miejsce pracy.

Obóz czwarty był bliżej miasta, a piąty daleko za miastem. To był piąty kwartał miasta, specjalnie zbudowany po to, żeby pracownicy mieli blisko do huty.

Budynek fabryki wzbogacającej miał 900 metrów długości.

Na ROR-ze pracowało 40 koparek amerykańskich, eskawatorów. 11 ton ważyła łyżka takiej koparki.

6 kilometrów od BOF-u, w stronę Dudzinki był Miednyj. Myśmy robili z BOF-u kanał i rurociąg w kanale. I z BOF-u koncentrat rudy wodnym transportem szedł do huty. Dokładnie 6 kilometrów.

Zub-Góra była częścią Szmitychy. Byłem tam, jeździła tam kolejka zbudowana pod kątem 45 stopni. Robiłem tam pomiary. Było już lato, jechałem na mchu po tej górze na dół chyba ze 100 metrów.

Nawet przy ich eksploatacji starczy zasobów Norylska na 80-90 lat, jak obliczali. Tam nawet tak robili - na Rudniku 3-6 i i w innych - robili podsypkę z ubogiej rudy, z której nie opłacało się wtedy jeszcze wydobywać metalu, gdzie było 4-5 % metalu, a w tej dobrej było 8%. Nie zostawiali hałd, bo ruda jest zasiarczona - to pod ziemią. Służyła jednocześnie jako posadzka.

"Kupiec" był niezamieszkały jeszcze w ogóle. Nie było tam przedtem ludzi, bo byłyby ślady jakies. Ale obóz był całkowicie wykonczony. Kogo tam trzymali przedtem, tego nikt nie wie. Nie było żadnego śladu ani żadnego człowieka z obsługi obozu. Żywność przywozili, braliśmy na wartowni, samochody nie wjeżdżały do obozu. Po wodę też chodziliśmy do rzeki, pod konwojem. Nawet drogi nie było do tego lagru.

Kałargon to był karny obóz, nienumerowany. To był nieduży obóz, paraset ludzi. Obóz był na płaskowyżu, koło drogi na Dudzinke. Stamtąd mało kto wracał. Raczej za sprawą recydywy. Więźniowie z Kałargonu kopali groby.

Z Rudnika 3-6 robili szosę do miasta. Szosa była kryta, bo nie można byłoby przejechać. To było między górami i w jedną noc 15 metrów śniegu zasypało! Tamtędy wozili się rudę do BDF-u.

Oficerowie polscy byli wszyscy w domu wczasowym nad jeziorem Łama. Ja tam byłem, ale oni wcześniej już wyjechali. Tylko jeden oficer został, bo w Dudzinca zachorował. Oni wierzyli, że wyjadą. A ich wymordowali wszystkich później. Ten został w Dudzinca - zapalenie płuc miał. On chciał później dołączyć do innych oficerów - a jemu dali 10 lat i do łagru wsadzili, do Norylska. W naszym obozie był, ale później z nim telefonicznie rozmawiałem. Na miejscu pracy były telefony i myśmy się wszyscy komunikowali.

W 1945 ja się o nim dowiedziałem, skomunikowałem się gdzieś w 1946 roku.

Nad jeziorem Łama był dom wczasowy dla prominentów. Jezioro Łama było olbrzymie. Jedyne miejsce, gdzie były ciepłe źródła. Więc tam wybudowali uzdrowiskowy dom dla swaich. Tam był tylko jeden więzien, palacz. Wszystko elegancko urządzone, a on tam był zarazem górnikiem, bo była tam warstwa węgla, dobrego węgla, pod powierzchnią prawie. On rąbał ten węgiel i od razu do pieca. Tam było trudno się dostać - kutrem się jechało, rzekami. To było około stu kilometrów od Norylska.

Mnie tam wydelegowali. Mieli przyjechać z Moskwy. Jak tam przyjeżdżała komisja, to komisje wozili w zakrytych samochodach, oni nic nie widzieli, tylko pili wódkę, im szyli futra - i odwozili ich.

Nie ma żadnego śladu. Tam było ich ponad stu. To mi ten górnik, ten palacz opowiadał. To był Rosjanin, Białorusin. Jemu powiedzieli: "Ty stąd nie wyjedziesz. Masz dobrze, to siedź.". On tam siedział, miał jedzenie dobre, siedział tam. Po wywiezieniu tych oficerów, po paru latach - on tam dalej

siedział. Tylko zdawkowo opowiadał o tych sprawach. Czy go sędzili? czy skończył tam wyrok?

Jenisiej rozlewał się na lewo, na zachód. Z prawej strony, od strony Dudzinki był wysoki brzeg. Jak płynęły lody, to na 70 kilometrów rozlewała się rzeka. Poziom rzeki podnosił się o 20 metrów. Raz w Dudzinca patrzę - są na skałach takie pomosty. Pytam, co to jest. A to, mówią, mola wysokiej wody. Pomosty na żelbetonie, na skale. Bo przecież tylko miesiąc-dwa statki przychodziły z ładunkami. Czekać, poki osiądzie woda - długo, więc zbudowali mola wysokiej wody.

Drewno, które płynęło, kotwiczyli na wysokiej wodzie od razu przy torach. Tory były zalewane wodą Jenisieju, ale tam tak budowano tory, że woda nie zabierała - na skale, umocowane.

Byłem raz w Dudzinca, kiedy była wysoka woda. To było w drugiej połowie czerwca, zimno jak cholera, śnieg zaczął znów padać - i straszny huk dookoła, bo płyną rzeka bałe drzewa, duże bałe, i kry duże sciskały je na miazgę. Łamało się to wszystko i kry między sobą stawały. Potworny huk, ale i widok jest wspaniały.

Oni chcieli budować północną kolej. Z początku zaczęli projektować most przez Jenisiej. Ale most, który był na wysokości 80 metrów! Bo 20 metrów głębokość Jenisieju, 20 przybór wody, tam statki dalekomorskie pływały, więc jeszcze 20 metrów... Odstąpili od projektu.

Potem pod Jenisiejem tunel zaczęli budować. Widziałem nawet w naszym biurze projekt, przypadkiem. Od nas brali specjalistów na budowę tego tunelu. Tam skały były

nieszczęelne, zalało - ze dwustu ludzi tam zginęło. Jeszcze za moich czasów w Norylsku przestali budować tunel.

To miała być kolej północna, nie w kierunku Krasnojarska, ale na dalszą Syberię. I budowa tej kolei - to było tylko NKWD. To się nazywało Budowa Kolei Żelaznej - Uprawienie NKWD. Bo jeden tunel pod Obem był, a drugi miał być pod Jenisiejem. Dwa tunele, bo mostu ani nad Obem, ani nad Jenisiejem nie zrobili, odstąpili.

Na Rudniku 3-6 w jednym miejscu mieliśmy postawić kuźnię tymczasową. W gorach, "ot, tutaj", pokazuję. Drewniany, tymczasowy barak. Okazało się, że pod spodem 30 metrów śniegu było! Utonęła nam w śniegu ta kuźnia, znaleźć jej nie mogliśmy!... Na rzece Noryłce, gdzie był pobór wody dla Norylska, tam stał grzejnik i pompy, żeby nie zamarzała woda. Noryłka w niektórych miejscach zamarzała zupełnie do dna. Stamtąd rurociąg - trzy nitki, przewody: 800 milimetrów i 1100 milimetrów. Izolowane, na betonowych podporach. Wcześniej włączyli - i zamarzło 300 metrów tych rur. Co oni tam robili, żeby to naprawić... "Wyrzucić te kury i nowe dawać".

Przez pewien czas pracowałem na zamówieniach materiałów. Bo tam zamawiano się materiały na następny rok. Więc wszystkie plany budowy - czego ile potrzeba. Tyle spawów, tyle szyn... Wszystkie potrzebne materiały trzeba było obliczyć. Tomy pisano... To się robiło na dwa lata. Bo były tam takie lata, że nie odmarzał Jenisiej, i wtedy barkami nie można było niczego dostarczyć. Tak było raz na 15 lat, ale było planowane, że może się zdarzyć.

Trzeba przyznać, że ci Żydzi w planowaniu byli tacy, że...

planowali wszystko. Ale tacy byli, a zbroiliśmy beton szynami wąskotorowymi. Jaka strata materiału!... Bo stali zabrakło.

Robiłem projekty organizacji robót. Przy budowie tego kominu - przy 40 stopniach mrozu - grafik był minutowy. W tej minucie miał ktoś jechać windą na górę, i jak się spóźnił, to już nie wjechał, bo co innego musiało jechać.

Moja buda, drewniak taki, stała pod kominem. Komin był z cegły, cegły miejscowej roboty: alewrolit. Jedna cegła spadła z siedemdziesięciu metrów, przebiła dach - mój pracownik siedział przy stole i jemu w głowę... Ja byłem w tym samym pokoju, przy szafie. On - trup na miejscu.

Pracował u mnie jeden inżynier z SS, miał wyrok 25 lat. On miał jeden wynalazek. Do Norylska sprowadzalo się na rok 2.000 ton materiałów wybuchowych. Materiały te były nieodporne na mróz. I ten inżynier mówi do mnie /po niemiecku rozmawialiśmy/: "Po co materiały wybuchowe, kiedy można tlenem płynnym wysadzać?". I mówi: "Jak mi dadzą zwolnienie, to mój wynalazek jest w Niemczech opatentowany". Ja mówię mu: "Wiesz, stary, pamiętaj tylko, że oni nabrać mogą". On podpisał i oni podpisali, że on zaprojektuje urządzenia do tego wszystkiego, oni obiecali, że go zwolnią. Przez półtora roku budował to wszystko - później już wszystko wysadzali tlenem - a jemu nic... On płakał...

Był u mnie też Rosjanin, wnuk Rachmaninowa. On studiował w Rzymie. Miał stopień niemiecki i był w Kijowie jako Niemiec. Złapali go. On pokazał wszystkie punkty, gdzie Niemcy szykowali zapasowe magazyny. Zwolnili go. Jak już ich pokonali Rosjanie - dostał 15 lat i był w Norylsku.

Mówi im: "Mam 50 tysięcy dolarów w banku amerykańskim". Spadek po Rachmaninowie. Więc oni: "Dobrze, zwolnimy ciebie, przekaż nam tylko pieniądze. Podaj hasło, bank". On wszystko pamiętał... Podał i m hasło, ale mówi mi:

- Trochę tych numerów zmieniłem...

- To dobrze - mówię - bo ciebie nie zwolnią, a pieniądze zabiorą!

I rzeczywiście - pieniędzy nie zabrali, bo nie mogli. Dali go na ogólne, ziemne roboty.

Nie wiedziałem, że on wyszedł - ja wyszedłem, a on został. Ale byłem w Lipsku później, nazwisko Satin to wiem, imię wiem, w książce telefonicznej patrzę - jeden Satin tylko jest, dzwonię! Odezwała się jego kuzynka, po rosyjsku i mówi: "On przyjedzie do pana". Przyjechał do hotelu, gdzie ja byłem, gadaliśmy całą noc, popijaliśmy...

Jego wuj, Rachmaninow, miał dwa domy w Lipsku. On mi opowiadał, że część spadku ma w banku - chciał w niemieckim banku rzużyć, ale jego wuj powiedział: "Nie, lepiej w amerykańskim...".

Rosjanie mieli szalone pieniądze. Przecież w części fabryki wzbogacającej rudę wszystkie urządzenia były amerykańskie. Specjalne urządzenia do napowietrzania pieców - angielskie tylko były opisy, projekt angielski, i gotowa maszyna. Maszyna olbrzymia, ona ważyła 150 ton. Musiała być wbudowana tak, , żeby os tej maszyny była ustawiona zgodnie z obrotem ziemi. Tam były olbrzymie, ciężkie elementy, które wirowały po 3.500 obrotów na minutę. Więc łożyska wycierały się, jeśli były ustawione niezgodnie z osią obrotu ziemi. Geodeci sprawdzali, czy dobrze jest ustawione. Było kilka stopni przesunięcia - nie zgodzili się. To urządzenie

pracowało na Miedstroju. Dłbrzymia dmuchawa, która dawała

powietrze do konwertorów.

Wzemy tak zwany czapuch. Nie "tak zwany", bo po polsku też czapuch się nazywa. W tym czapuchu osiadały pyły i te pyły były droższe od miedzi! Czapuch był w kształcie litery S, więc osiadały. Kolejka odwoziła te pyły, było w nich jeszcze 18 metali.

Ja byłem inżynierem dyżurnym rozruchu huty. Rozruch huty trwał trzy miesiące. Jak ja miałem dyżur - do wszystkich służb telefony i każdy musiał wypełniać rozkazy tego dyżurnego.

Wybudowali z Noryłki wodociąg. Kaskada była w górach, jedno jezioro, drugie i z tego zbiornika brało się wodę. Na wiosnę była burza, tamę zerwało i Norylsk nie ma wody. Zwierew - to było 15 kilometrów od Norylska - namięt tam mały postawili i wszystkie telefony doprowadzili. W przeciągu nocy wszystkie telefony doprowadzili, 15 kilometrów!... On dowodził. Jaka cegła, czy pustaki, czy glina, czy stal - wszystko wozić tam.

Pamiętam, ktoś tam poradził Zwierewowi - to było pierwsze moje z nim spotkanie - że mnie też tam dali, do tego, żebym ja wszystko liczył, co poszło. A wszystko i z budowy, i zewsząd - ogolocili całe miasto! Wszystko, żeby tę tamę odbudować. Ja musiałem wszystko pisać, co przychodzi... Ja jestem akurat u Zwierewa i on mówi: "Wszystkie worki, jakie są...". Żyd, kierownik zaopatrzenia mówi: "A co ja zrobię, że trzeba 100 tysięcy worków?". A ten mówi: "Będziesz sam nosić

mąkę i cement i wszystko, będziesz nosić garściami! Przyjedź tutaj do mnie - ostatni raz przyjedziesz". Za godzinę ten Żyd przyjechał, ten go stłukł i zdjął ze stanowiska. Że się upierał.

Cztery dni nie było wody. Dwa razy za mojego pobytu tam była taka historia.

Raz do tunelu kablowego /w elektrowni, na TEC-u/, gdzie było 200 kilometrów kabli, różnych, tam spawacz wlaził. Na drabinie na wysokości 30 metrów spawał drzwiczki do tego tunelu. Drabina się zachwiała, a on puścił płomień na kable. Wypalili się wszystkie kable. Dostał za to 25 lat.

I elektryczności nie ma, i ciepła nie ma. Turbiny stały. Samolotami wozili kable, żeby to wszystko wymienić. Dzień i noc pracowali ludzie, żeby obliczyć kable, ile trzeba. Wyszło 200 kilometrów, różnych przekrojów.

Na rozruch turbiny jedną trzeba mieć turbinę oddzielnie, turbinę niedużą, parę tysięcy kilowatów, która jest w innej kotłowni, ciepło jest, bo inaczej nie ma jak rozgrzać tego wszystkiego.

Na *promtasziatce* była jedna taka turbinka i kable do TEC-u. Ona nie chodziła stale. Jakie było piekło, żeby ją uruchomić!... Cztery dni nie było w ogóle ciepła i elektryczności, póki jej nie puścili w ruch. Wszystko stanęło. Przez cztery dni nie było światła, nie było ciepła, nie było niczego.

Ludzie i tak tam marzli, normalnie. Napije się gość, idzie do domu - znajdują go z rana, nie doszedł do domu... Walnych dużo ginęło też, bo oni przyjeżdżali po te długie ruble. Pili na umór.

Kiedy byłem w obozie drugim - na *promtasziatce*

laboratorium było i tam umieściłem Szelkinga, Nagłowskiego... czterech młodych, którzy 13-14 lat i - niedokształceni. Ja wykladałem fizykę i matematykę, miałem przepustkę i chodziłem tam, 3-4 godziny w wolnym czasie zbieraliśmy się w laboratorium.

Nas tam raz nakryli. Zabrali mi przepustkę. Chciał bić, ale nie daliśmy się. "No, pochodzisz za przepustką", i puścił mnie. Bez przepustki każdy może mnie zatrzymać. Ale jakos dotarłem do lagru i później różnymi sposobami odzyskałem tę przepustkę.

Kiedys na Wielkanoc - Szelking pracował już w łaźni w lagrze wapiennym, na Izwiestkowym tak zwanym - i mówi: "Ja zrobię jajko świąteczne. Przyjdziesz?". Mówię, że poprobuję. A to daleko było od biura projektów. Ja idę, a podrobiłem podpis, pieczętkę podbiłem normalnie, nie podrobiłem. Bo u naczelnika kombinatów był woźny. On urodzony tam, dostał 3-4 lata; do mojej brygady dali go, bo brygada wychodziła do miasta. On mi na maszynie napisał przepustkę do innego lagru "w sprawach remontowych".

Idę tam. Niosę butelkę spirytusu, pół litra. Płaszcz miałem brezentowy z taką kieszenią i tam butelka. Na wartowni dyrektorka fabryki wapienniczej - i jej nie wpuszczają do lagru. Mówią jej: "Nie mieszajcie, uchaditcie". Ja daję swoją przepustkę: "Wot eto w poriadkie", i mnie wpuscili! Takie lipy były...

Na wapiennym Szelking pracował w łaźni, ale miał magazyn bielizny. I daje mi: świeże onuce, świeże gacie, koszule daje mi. Ja mówię:

- Jak ty się wyliczysz?

- Nie takie rzeczy się robiło...

Wykapaliśmy się - teraz śniadanko. Jaj nie ma, z proszku jajecznego zrobione jajka. Musieliśmy zaprosić kierownika łaźni do tego. Nas 10 osób, a pół litra spirytusu. A kierownik łaźni:

- *Aczka* - mówi do mnie, "okularnik", Gruzini tak do mnie mówili - *sato tak maTo lejosz*

- Bo mało.

- *Sudiet* - mówi.

I przyniósł - bo tam wszędzie w łaźniach samogon pędzili - i przyniósł dzban samogonu. Niefiltrowany.

Tam w biurach wolni pili tak... Przed biurem projektów stała budka, gdzie sprzedawali spirytus. Stoją wszyscy w kolejce - a sprzedają tylko po jednej lampce - wypije i na koniec kolejki...

Z siostrami Kupczakównami spotykałem się w biurze projektów budowy teatru. Zaswiadczenie dawałem jednej i drugiej, bo one nie miały dokumentów technicznych, a tam skończyły kurs techniczny i chciały mieć na to zaswiadczenie.

Słyszałem o samobójstwie pani Rostkowskiej, nie znam sprawy. Tam z rodziną coś było, zdaje się, że jej mąż wyszedł z łagru i się ożenił. Ale on nie był w Norylsku.

Spotykam kiedyś Szelkinga:

- Zbyszek, coś taki zmartwiony, co tobie jest?

- Nie ma nic do palenia.

- Patrz na komin, jaki dym idzie!...

On do dzisiaj to pamięta...

Pisaliśmy do siebie listy, wspomnienia. Zachowywaliśmy patriotyczną więź.

Była u nas też organizacja samoobrony. Przed buntem się rozczęła, a w czasie buntu scementowała się. Dlatego ja nie chciałem, żeby nasi do tego ukraińskiego komitetu należeli. Nas wzywali tam, pożyczali tego chłopaka do zrywania krat, i więcej nic. Politycznie ci Ukraińcy byli dla nas obcy.

Formalnie mówilo się, żeby w ogóle się nie mieszać. Trzeba, to trzeba, ale lepiej z daleka.

Raz nawet było w Norylsku w kopalni zebranie, tajne. Byliśmy tam, Matoszko i ja. Zaprosili nas. Wasilewski, Ukrainiec, jakiś tam członek rządu... Tam się zebrało nocą sporo tych Ukraińców, za trzydziestu. Przed buntem to było. Ale jak oni mówili, że siczowy rząd... To odbywało się na Rudniku 3-6, jeszcze przed buntem, w tym samym roku, zimą, a bunt był na wiosnę. Wtedy organizacja już była, stale była. Nie pisaliśmy nic - kto był blisko, to umawialiśmy się i koniec - nie wiadomo, do kogo dostanie się taki listek...

Organizacja miała działać wtedy, jak będzie jakiś przewrót, jak będą nas rozstrzeliwać czy palić czy co - kupy się trzymać... Tam byli tylko Ukraińcy i Litwini. Myśmy mieli z nimi takie pogaduszki, ale luźne, żeby nawet nie zapamiętali nas. Nawet nie pytali, jak się nazywasz.

Ta organizacja nie była w jednym obozie. Było więcej. W piątce była, później, ale była też. W dwojce i w piątce, na TEC-u trochę. Wtedy akurat robili SDR-łagi.

Wyszła ustawa: zwolnić sądzonych niepełnoletnich. Więc wypuszczali ich z łagrów. Z początku nie wypuszczali nikogo i oni siedzieli 5 lat ponad wyrok. Później jak Wyszyński był w

łagrze u nas, zdziwił się, że tacy są w obozie, Obluda.

Wola prokurator Karpowicza, a on już 9 i pół rok odsiedział już, /a miał 10 lat wyroku/ i prokurator mówi:

- Jak chcesz odwdziaczyć się sowieckiemu prawodawstwu za to, że cię wypuszcza?

- *Caestnym trudom.*

A ten mówi:

- *Budiet widno* - i go do łagru z powrotem!

Przychodzi do mnie... Mówię mu: "Tu na zakłamaniu wszystko jest, i ty kłam...".

Karpowicz miał szczęście - był w czwartym łagrze, mieszkał w baraku z Rosjaninem, profesorem matematyki, i ten go uczył. Bo ja go uczyłem - Piotrka też - początków, a tamten już do wyższej matematyki doszedł. Karpowicz przyjechał do Polski jako obywatel radziecki /bo on z Wilna/, tutaj maturę w pół roku zrobił i później zdawał na politechnikę, na politechnice mówi:

- Słuchaj, trzeba obywatelstwo oddać.

- Nie - mówię - kończ politechnikę: obywatelstwo radzieckie masz, masz ochronę.

Ukończył politechnikę jako obywatel radziecki. Później oddał obywatelstwo. Wzywają go do konsulatu radzieckiego: "Podanie tu napisaliscie...". Mówy, straszyć zaczynają. Kazali zapłacić za studia, ale on się wykręcił.

Łatrujonono go na politechnice jako asystenta. A on pracował w elektromontażu. Radiotelefony to jego wynalazek, ma patent do dziś.

Dąbrowskiego wzięli na sąd i już do obozu nie wrócili. Jemu przysyłali dobre paczki i on dzielił się z tymi, gdzie mógł

lżejszą pracę dostać - do kuchni...U mnie rozpakowywał paczkę - szpulka nici, a tam 50 rubli zawinięte w nici, nie znaleźli.

On miał język taki... nikogo się nie bał. Mówił, groził... upetnomoczenyje byli w każdym lagrze, a donosili im jak cholera. On mówił, i dzisiaj tak... Dostał adres tego Sitko-Sietkiewicza i mówi: "Pojadę...dam jemu!". Ma pojechać, jak się ciepłej zrobi.

Może oni ochraniaли innych świadków? Bo Sitko-Sietkiewicz zeznawał na Dąbrowskiego jako świadek. Na każdego mieli dwóch-trzech świadków, których oszczędzali. Oni wiedzieli, że jak jest świadek i na podstawie jego zeznań ktoś dostaje wyrok, to później... często takiego świadka więźniowie zabijali. Dlatego oni takich donosicieli nie dawali na procesie, na procesy dawali innych. Sitko-Sietkiewicz zeznawał na procesie.

Suchockiego znałem. Jak on został w Grodnie, przeszedł na emeryturę i przyjechał tu do mnie, to mówił, że pracował. Dwa etaty.

Pieczętki tam różne były. Fabryka makaronu - nawet nie wiedziałem, gdzie to jest, co tam jest. Były różne doświadczalne rzeczy, urządzenia, gdzie się doświadczenia robiło - i na ludziach, i na bydle, i na wszystkim. Oni nie nazywali tego "na ludziach"... Była ta Rusłanowa, śpiewaczka. Jej mąż był generałem lotnictwa i kiedy zdobyli Drezno, on z drezdeńskiej galerii przywoził do Moskwy wszystko. On był mało inteligentny, a ona wszystko to w Moskwie sprzedawała. Dzieła sztuki znane w całym świecie. Później amerykański dyplomata w Moskwie kupił takie dzieło i napisał artykuł, że

"dzieła sztuki na targu"... General dostał 13 lat, a ona 6 lat. Ponieważ była śpiewaczką, była w objazdowej grupie więźniów, którzy do łagrow przyjeżdżali na występy. I jak przyjechała do nas, to ja z nią rozmawiałem.

Jest potem koncert noworoczny, szczekaczka wisi i zapowiadają: "Po długiej chorobie wystąpi znana śpiewaczka Ruslanowa...".

Był mandolinista w Norylsku, sławny na cały świat. On na tych trzech strunach rapsodie wszystkie grał... Przywieźli go do Norylska. Pytam się jego:

- Jak było?

- A tak było: wyznaczyli mnie, że na Kremlu mam mieć koncert. A ja elektryk jestem z zawodu. Jak powiedziałam żonie, to cała kamienica ubierała żonę na Kreml. I żona już czeka, a ten pijaniuteński przychodzi! Ona: Jak pojedziesz na Kreml? A on: A ja jebał Kreml!

Żona z tego, że nie była na Kremlu przez niego - zameldowała i jego zwinęli. Ale on niedługo siedział, chyba parę miesięcy. Może go gdzie indziej wywieźli?

Siedział też w Norylsku skrzypek sławny, Rosjanin, teraz niedawno występował, stary już, też Żyd.

Pytam Szypowa, Szapiro:

- Czy ty się przechrzcii?

- Tak.

- A dlaczego?

- Za ostry reżim jest w tej żydowskiej wierze.

A przedtem - idziemy razem do roboty - on mówi:

- Ten wasz Piłsudski...

Złapałem go za kołnierzy:

- A wasz Stalin?!...
- Co ty na Stalina mówisz?...
- Siedzi w łagrze i jeszcze...
- Ze cztery lata mieszkaliśmy to w jednym łagrze, to w drugim...Znów spotkaliśmy się:
- No, Adam, jak?
- Wiesz co, powiem ci w sekrecie...
- Co takiego?
- Z powrotem wracam do tej wiary...
- Dlaczego, dlaczego teraz?
- Wtedy byłem w Berlinie, w Waszyngtonie... mnie było wygodniej... A teraz doszedłem do tego...tutaj koledzy są z naszego wyznania...doszedłem do tego, że jednak najlepsze wiara.
- Jego żona pracowała w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, on general. Miał zbiory, cenna bibliotekę.
- Na moje zbiory w Moskwie najwyższe władze miały chrapkę.
- Wszystko zabrali?
- Zabrali.
- Twoja żona też pod Jenisiejem zesłana, a ty tutaj siedzisz 15 lat. No widzisz...
- I tak potrafiłem zrobić, że jeszcze żyję. Bo nie wracałem z Waszyngtonu przez pół roku. Wciąż pisali, żebym przyjechał, a ja się orientuję...
- Tłumaczył się, że nie miał komu przekazać, że attache... I w końcu 15 lat tylko dostał.
- Po włosku śpiewał arie, głos miał dobry. "Aidę" od początku do końca po włosku śpiewał. Niedys na Miedstroju organizacja placu budowy jest. Budujemy tam... I on mówi:"Wiesz co, Henryk - ja kończę 50 lat. Za za ciebie to

skończę, a ty się staraj o spirytus". Jak się starać? Z kierowcami trzeba. Wołam kierowcę:

- Za litr spirytusu ile skały dopisać?

- 50 kubików.

- Uuu, za droga...

Targ w targ za trzydzieści kubików przywiózł litr spirytusu, i drugi kierowca też. Mógł tylko litr przywieźć, bo ich też rewidowali - w gaśnicy przewozili. Wszystko wyrzucone i nalewali spirytusu... Oni tam nie dbali o to, że jakiś pożar...Kierowca nic nie robił. Wjeżdżał do zony, ktoś z naszych mówił: "Słuchaj, pozwól mi kierownicę potrzymać". Ten udaje, że nic nie wie, a nasz spuszcza z gaśnicy spirytus do garnka.

Kiedyś były święta ich - trzy dni nie puszczają nikogo z łagru. My też świętujemy. Ponieważ ja jeden z naszych miałem przepustkę, musiałem załatwić spirytus i wszystko.

Sposób przenoszenia w drzewie już znali. Drzewo rozcięte i później sklezione, a w środku butelka. To już ci wartownicy znali. A ja wziąłem rulon brystolu i w środku butelka. Rulon przewiązany kolorowym sznureczkiem. Robią rewizję:

- 4 seta szteef

- Szienna gazietka...

Do środka nie zajrzał. A przodem idzie Makowski. Druga wartownia jest - a ja widzę, że się ta butelka wysuwa. A Makowski już zrewidowany, i ja mu to wsadziłem do kapiszonu. Później w łagrze wyciągam tę butelkę, a oni:

- Panie Henryku, jak pan mógł tak... mnie mogli rozstrzelać za to... Pan ryzykował moim życiem...

No i tak umarł w obozie... Brat tego słynnego malarza, dobry inżynier.

Wolski, sędzia, mówił mi kiedyś:

- Słuchaj, Henryk, jak my kiedyś doczekamy tego, że ja będę naczelnikiem bezpieczeństwa i będę tę całą komunię... A pan będzie mi napędzać tych wszystkich...

Wolski miał na imię Jan. Znałem go z okręgu wileńskiego AK. W AK pracowałem od 1939 roku, od powrotu z frontu.

W Warszawie jest też Hulnicki. Mam portret przez niego robiony. Robił wszystkim portrety.

Białnyje, wszyscy... On był "lejtnantem", przypuśomy. Po pięciu latach on mówi mi: "Mam majora". Później - pułkownika.

Gdzie tam uciec?... Wszystkich uciekinierów wydawali... Jeden Polak, z Wilna, nawet uciekł. Uciekł w Norylsku dochodzeniowemu oficerowi. Uderzył go i wyskoczył oknem. Zamieszkał u drugiego enkawudzisty, ponieważ z jego córką miał romans. On dostał się do Dudzinki, w rodzinne strony już przyjechał i w Rosji siedzi w piwiarni - i wchodzi enkawudzista z Norylska, który na urlopie jest i go poznał. Przywieźli go z powrotem.

Słyszałem o różnych ucieczkach i wszystkich przywozili zabitych z powrotem. Tylko ci oficerowie radzieccy uciekli i jeden białny uciekł. On był dobrym mechanikiem, miał przepustkę, w Dudzince zameldował się jakos na statek... Pisał i robił pieczątki... On się liczył w ucieczce, jak ja opracowałem to sprawozdanie. On, ci oficerowie i więcej nikt. Tylko wykaz był, ilu złapali. Kilkadziesiąt nazwisk, była imienna lista.

Każdy, kto miał przepustkę, musiał 100 kilogramów chwoji zebrać na sezon. Tam sezon trwał 2 miesiące. Później nic z tego nie było, wszystko zamarzło.

Tam było sporo wolnych Chińczyków. Oni mieli swoje osiedle: Szanghaj, takie baraczki. Wybierali we wzbogacającej fabryce platynę pensetkami. Na 12 godzin zamykali ich w pomieszczeniu, gdzie idzie ta zmielona skała, i oni wybierali. Dlatego, że platyna jest kowalna, to byli małe, drobne, sprasowane płytki. Każdy miał normę, pracowicie wybierali. Ponieważ ich tam zamykali na 12 godzin - a oni dobrze zarabiali, mieli ruskie żony - one się puszczały wszystkie. I kiedyś prądu nie było, wypuścili tych Chińczyków wcześniej. I zobaczyli, że w każdej chacie u nich siedzi Ruski i pija wódkę z tymi żonami. Od razu podpálili całe swoje osiedle, wypędzili te żony, wyrzucili wszystko: "Ruskim nie wierzymy". Nie przestali pracować, ale każdy już mieszkał gdzie indziej, wynajmował sobie.

Najwięcej tych bałków była z seń. Bo póki nie było kolei z Dudzinki, wozili konwoje w saniach. W obudowanych saniach. Później pobudowali kolej, sanie niepotrzebne, posprzedawali. Ale one na płozach były... Gosc spi w takim domu, żona go zamknęła, kłódkę powiesiła /bo on na nocnej zmianie był/, poszła. On się budzi, patrzy przez okienko - nie w tym miejscu jest! A to ukradli traktorem! Patrzą - kłódka wisi, traktorem odciągnie, dookoła miasto objedzie, a tych san było tam setki, podobne...Kradli nagminnie te sanie...

U każdego stoi grzejnik z drutu jak palec, owinięta rura gliniana, i dołączony prąd. Ile tam prądu szło... Zasypie taką budę śnieg, tylko komin sterczy, i stuka w ścianę do

sąsiada - "odkop mnie...".

Jak nas kiedyś prowadzą - jeszcze na początku - do lagru. Zegar na dworcu w Norylsku. Patrzymy, która godzina - jest jedenasta. Idziemy, idziemy - godzina jedenasta. Drugą godzinę nas prowadzą - jedenasta! Do lagru przyszliśmy, a jeden Ruski mówi: "Ciasy zdieś tożę propaganda!". A ten zegar na wieży to było drewno malowane - z daleka nie widać, ale oświetlony...

Spirytus do Norylska dostarczano samolotami. Kiedy samoloty nie mogły wylądować z powodu pogody - na drugi-trzeci dzień w Norylsku znikaly wszystkie wody kolońskie i inne.

Tam butelka ćwierćlitrowa kosztowała tyle, co ćwiartka spirytusu. Nie było szkła. Nie było lampek dobrych, nie było nic. Więc w sklepie stoi beczka spirytusu i waga uchylna. "Dawaj płatsot", wszyscy po spirytus w czasie przerwy obiadowej... Pięć słoików podstawia... A jeden nalewa i inkasuje pieniądze. I tak to jest... Ale ten spirytus też jest... Na beczkę spirytusu wiadro wody - tradycyjnie.

Norylsk miał dostać prawa miejskie. Zwierew się nie zgodził. 100 tysięcy mieszkańców i mówią, że *posiołek*... Bb jak *posiołek*, to kombinat rządu, a tak partia, władze miejskie... On nie chciał. Miał brata ministra finansów...

Dyskutowałem z księdzem Ciszkiem. Pełen werwy był, siły... Już w połowie łysy, ale... Skonczył ten instytut jezuicki...

wysoki, na drewnianych palach. Jak samochód jechał, to kiwało się wszystko. To był bardzo wysoki most. Strzeżony był z jednej i z drugiej strony, telefony. Puszczał transport w jednym kierunku, zamykali, i w drugim kierunku.

Ja po opuszczeniu obozu miałem nawet mały samochodzik. Pracowałem w fabryce samochodów osobowych, byłem już wtedy pół-wolny, zesłaniec. Więźniowie ze złomu zrobili mi samochodzik. Jechałem do Magadanu tym samochodem, raz pojechałem. Na lewy brzeg jechałem kilka razy. Raz mnie złapali. Postawiłem dwa litry spirytusu, zpinierz mówi: "Do następnego razu". Następnym razem złapali: "Daważno!", i mi zabrali ten samochód.

Organizowałem wyręb lasu na lewym brzegu. Swych ludzi lokowałem tam. Jak jechałem przez Kołymę, to po lodzie, ale już 10 centymetrów wody było. A lodu jeszcze dwa metry. Gdyby samochód tam zgasł, to woda by zamarzała i... Ale udawało mi się przejechać.

Tam było oddelegowanych ponad stu ludzi do wyrębu. Wywozili ich do lasu przez dwie przełęcze górskie. Te przełęcze były takie, że musieli traktorem przeciągać samochody po dwa, bo i latem i zimą wszystko było oblodzone.

Ulinnyj Stan był 12 kilometrów od nas, tam była kopalnia złota. Mieszkałem w Spornym, w Spornym wszystko budowałem, a w Drotukanie był bank, bo to większe osiedle. Jechałem tam zdawać raporty.

W biurze projektów w Magadanie pracował Turski. On przyjechał kontrolować naszą robotę. On mówi:

Tam był taki nabór: "Kto chce jechać... krzewić wiarę". On się zgłosił. Zgłosiło się ich tam jedenastu. Z tego - on mówi wtedy - że żyje tylko trzech. Pozostali rozstrzelani, zamęczeni... A on mówi: "Ja, skromna owieczka...". Jak wiedziałem, że z nimi nie poradzę, to nie dyskutowałem, zawsze mówiłem "tak, tak"... Czym on tam nie był - i farnalem był i stróżem, a posługi religijne wykonywał.

Jak przyjechał tylko, oni już wiedzieli... Ale mówili mu, żeby wyjechał z powrotem na zachód... On mówi: "Tak Pana Boga zamykajcie".

K O Ł Y M A

Nad Bajkałem było 60 tuneli i jednotorowy szlak, jak w tamtą stronę jechałem, na Kojumę. Jak jechałem z powrotem, był już dwutorowy szlak i tuneli było cztery czy pięć. Wcześniej wszystkie mosty były jednotorowe - to potem rozjazd i drugi most. Tam były przecież duże rzeki. I część kolei była już elektryczna.

Na Kojumie zupełnie inaczej NKWD podchodziło. Nas przywieźli do lagru opróżnionego zupełnie. Wszystkich więźniów zabrali /oni jeszcze numery mieli/ i gdzie indziej dali. A nas zostawili w pustym lagrze. Nam numerów już nie kazali nosić ani nic.

Od Jagodnoje do Magadanu było 880 kilometrów. Jagodnoje było za Orotukanem. Na rzece Kojuma był most drewniany,

- Wy Szumski.

Patrzę - Turski z Wilna. Więc mówię:

- Błuchał, ty jesteś Turski, a ja jestem Meszczyński.

- Doo...

Powiedział, że "Strach", oficer z 6 Bryg. AK jest w Magadanie i on depeszuje do Polski i za dzień otrzymuje odpowiedź z Warszawy. Ja tak spróbowałem i nadałem depeszę do szwagra, który pracował w Ministerstwie Łączności w Warszawie. Po paru dniach otrzymuję odpowiedź. Wszystkie dokumenty otrzymałem z Warszawy, pieczęci mnóstwo - i naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, i ambasady sowieckiej. Wyzew miała jeszcze Wierzbicka, dentystka w szpitalu, ale jej nie puszczali, była potrzebna. Po trasie jechał pułkownik MWD z Magadanu. Do mnie dzwoni major i mówi: "Idź, tam siedzi pułkownik i wszystkich Polaków zbiera". Bo ja powiedziałem mu, że mam wyzew, a jeszcze nie miałem. Idę do domu, patrzę - jest karteczka, że na poczcie jest... Przez szwajcarską ambasadę to szło... I ja z tą kopertą... Mówię: "to wyzew jest". Pułkownik wszystkich wysłuchał, obejrzał wszystko i mówi: "Niejaką /niejaką! / nadzieję mogą mieć Szumski i Sobociński.

Polacy, co byli, zaczęli się awanturować, a on mówi: "No co - was nie chcą w Polsce. Nie macie wyzewu". O Wilnianach w ogóle nic nie mówił, bo to "nasza republika", i o Ukraincach też.

To był czerwiec. Już jest wrzesień, a ja nie mam żadnych papierów. On zabrał to wszystko i wyjechał. Jechał po trasie i zbierał.

Później ja trafiłem w Magadanie do tego pułkownika. Dwie przepustki brałem. Bo pojechałem pobrać materiały na

wyposażenie schronów przeciwoatomowych pod fabryką samochodów, Liczniki Geigera, specjalne szczelne drzwi, bramy i różne inne. Parę samochodów ciężarowych to wiozła. A znalazłem hasło, bo tam była fabryka tych urządzeń atomowych i znalazłem do niej hasło. Dom NKWD - sześć pięter, szyld: "Spółdzielnia mieszkaniowa". Portier mówi: dowód. Ja mówię: "Hasła tylko mam!". A hasło do fabryki! Ja zresztą już wcześniej byłem w tym budynku i nie wiedziałem, że ten pułkownik siedzi parę pięter wyżej.

Poznałem tego pułkownika. On pyta mnie: "Kak wy zdies papal!#". "Papał". Przepustkę jedną mu dałem, drugą trzymam, bo na każdym piętrze przepustki wydawali! Siedzi oficer i przepustki wydaje! Ja mówię: "Co to za spółdzielnia mieszkaniowa?!?.."

I mówię: "Wyscie zabrali mój wyzew. Statek ma niedługo odchodzić, a nie mam żadnej wiadomości". On wstaje: "Wasza familia Szumski?". "Da". "Zawtra odchodzi parochod". Oni tak do końca trzymali, bo wiedzieli, że ja jestem potrzebny na budowie, a tak: statek odszedł i koniec. A wyzew był ważny tylko pół roku.

Na samochód i z powrotem. Przyjeżdżam do Spornego, a ten znajomy major do mnie: "No co? Jutro odchodzi statek, a ty tutaj?". On już wcześniej wiedział, ale trzymał też... No, dobra... "Trzeba wszystkie roboty zdać!". A ja miałem robot na miliony rubli. I trasę tam budowałem, i szpital, i domy mieszkalne, i szkoły. Jak mu zdać to wszystko? Przecież jak przyjmowałem te roboty poprzedniego roku - sześćdziesiąt kilka stron maszynopisu. "Komu mam zdać?". "Temu, od kogo przyjąłeś".

Był taki były pop, ale technik, nauczył się.

Dzwonię: "Przyjdź". On przychodzi - z cwiartką spirytusu. Mówię mu: "Słuchaj, trzeba protokół zrobić. Maszynistkę przygotowałem, wszystko jest". Na to on mówi /wypiliśmy tę cwiartkę/: "Będzie mało". Posłałem go po drugą. I on mówi: "Frajer. Dawaj ten protokół...". Stary protokół, zeszlorboczny, roboty się zmieniły! - tam było, że on zdawał, ja przyjąłem, a teraz - ostatnią stronę przepisałiśmy na maszynie, po sowiecku! - że ja zdałem, a on przyjął.

Raz było tak, że - już na Spornym, na Kołymie - akurat ten Kazański, od którego ja przyjmowałem zlecenie: któremu potem zdawałem, urodziło mu się dziecko. Ja byłem kumem. I zabrakło spirytusu. Sąsiedzi do niego od rana przychodzili, jeden wyjdzie zaraz, a drugi wyjdzie nocą. Mówię: "Nie bezpakojsia". Wiedziałem, gdzie mieszka kierowniczką sklepu. Z mężem mieszkała, on Ormianin, ona Ormianka. I ja stukam do nich o drugiej w nocy... "Kakaja blade...". Idziemy, to niedaleko było, sklep otworzyła i mówi, że gorące pierożki z mięsem są. "Wazniossz bo one do rana...". "Dawaj".

Ja przynoszę te pierożki, a Kazański mówi: "Ty uże sowiecki człowiek".

Co 100 kilometrów był punkt transportowy - stacje remontowe, zaopatrzeniowe, restauracja, noclegowe pokoje dla tych, co jadą i dalej już ich nie puszczają, bo odpoczynek. Jak opony zwozili - pojedzie pięć samochodów ciężarowych "Tatry", 100 kilometrów i już załadowane oponami. Przyjeżdżają - a w środku już siedzą i palą te opony.

Drewno trzeba łapać i ono zmarznęte jest, ono się nie pali. A to - szybko się pali, wysoka temperatura, i wszędzie

jest!

Jak ja jechałem do Magadanu. Tam jechał dyrektor kopalni złota, autobusem go odwozili, bo on jechał na emeryturę. Tak był autobus zrobiony, że mieszkalna część - tam jego żona i dwie córki, a tutaj ci, co go odprowadzają. Mnie autobus nie zabrali. Myślę - może rzeczywiście jutro odchodzi statek?

Pytam się kierowcy, skąd. A on: z takowo i takowo przyska.
- Wazmiesz nas? - Ooal. dyrektor zawoda, przyska jedzie... Ten dyrektor, pułkownik, /inżynier pierwowa ranga to tak jak pułkownik/ siedział w restauracji. Wchodzę - jest akurat, jeszcze z jeonym inżynierem. Piją spirytus. Ja mówię:

- Gaspadin dyrektor...

- Gaspadin to ja jest, no nie dyrektor uże. W czym dieła? A wy kto, szta gawaritle mnie "gaspadin"...

- Bo ja toże "gaspadin"...

Do kelnerki mówi:

- Jeszczu adnu...

Ja trzy postawiłem też.

[...]

Mówi inżynierowi - naczelny inżynier tej kopalni, któremu on zdał robotę - "bierł stąd krzesła". Bierze te krzesła, wsiadamy do autobusu i jedziemy.

Żona tego dyrektora martwi się: jak on nie wyjedzie stąd, to się zapije. A ten inżynier mówi: Może jedziecie na Ukrainę, może na Krym, tam możesz nie pić, a tutaj trzeba pić...

Dwa dni jechaliśmy i ja myślałem, że... Na każdym przystanku - co 100 kilometrów, a droga 800 kilometrów - na stojąco po dwie lampki, po dwie cwiartki spirytusu, dawalno.

My zakąskę mieliśmy ze sobą. Z tyłu autobusu pokój jest, stoł tam, jedzenie żona szykuje... Tak dojechalismy.

Jak on się dowiedział, że ja Polak, mówi: "Te wszystkie kopalnie złota to Polacy odkryli. Każda ma w historii swojej Polaka-inżyniera". Miał leś do spirytusu. On był chyba niepartyjny. Powiedział do nas, że gdyby on był partyjny, to on by w Moskwie był. A na Syberii to może być niepartyjny...

Jak przyjechalismy do Magadanu, to zbierają nas jeden raz, drugi, wybierają starszego transportu, tego, który wykazy musi robić. Wybrali mnie. No i miałem listy. "Ile u was kobiet, żon? A czy te żony zarejestrowane, czy nie?". To wszystkich do ZAKS-u, tego ich urzędu stanu cywilnego, bo pobrali się niektórzy i nie mieli...zapisali się.

Dali nam po 300 rubli, a w Magadanie w sklepach kawę wykupili i złota wszystko. Papierosnice złote. Każdy miał pieniędzy jak lodu, dlatego, że płacili pożyczki, które przez tyle lat człowiek zbierał, i nam rubel za rubel płacili. Tam była już u nich konwersja, że jeden za 10 płacą - a nam 1 za 1.

Nas przyjechało 200 ludzi. Oprócz tego z Magadanu... Przychodziliśmy do sklepu: "Co u was za towar jest?". "Zawtra budżet". I rzeczywiście na drugi dzień wszystko było - kawy każdy 10 kilo kupił. Ja nie kupiłem kawy - kilogram kupiłem - tylko zegarek złoty żonie kupiłem, i wszystko. Ja nie miałem tak dużo pieniędzy.

Jeden lwowiak jechał z żoną i dziećmi. I on wiedział, o co chodzi. Bo kapitan przyszedł i mówi: "Jutro wypłacimy pożyczki wasze". To było już w Chabarowsku. Ten lwowiak poleciał na rynek i nakupił tego, ho, ho... Ten przyszedł: "Skąd wy tyle macie?!". To chytry był ten lwowiak... Bo on był kierownikiem

zaopatrzenia oficerskich sklepów NKWD.

Przyjechalismy do Jagodne, a on w piłkę grał. Poszliśmy tam na stadion, niedziela. On otworzył magazyn - i trzech ludzi taskało puszki mięsne i butelki z winem. I wiadro. Ja mówię: - Co to za wiadro?

- Tu była woda. Woda poszła do beczki, a wino poszło do wiadra...

* * *

spisał Tomasz Głeb

I N D E K S

I N D E K S

do relacji p. Henryka Meszczyńskiego
/w nawiasach numery stron z części "Uzupełnienia"/

I N D E K S O S O B O W Y

Baranowska Basia /łączniczka/	- 14
Baranowski /W, kapitan/	- 14
Berger Marian	- 7
Bogdanowicz	- 42, 52
Bohatkiewicz	- 16
Boryczka Adam /W, cichociemny/	- 8-12
Chruszczow	- 56
Ciszek /D, ksiądz/	- /23/
Dąbrowski /Józef/	- /16/
Gawin	- 39
Głazek	- 13
Golubow	- 53, 54
Hemingway	- 26
Hulnicki /Julian/	- /20/
Juchniewicz /lekarz/	- 26
Karpowicz /Piotr/	- /15/
Krajański	- /28/
Kupczakówny /siostry/	- 25 /13/
Lapiński	- 35
Makowski Jan	- 26, /20/
Mattoszka /Włodzimierz/	- 26, 43, /14/

Merson /D. śledczy NKWD/	- 14
Minienko Natalia	- 30
Morawska Irena	- 55
Nagłowski /Tadeusz/	- /12/
Niedzielscy bracia	- 16
Niedźwiecki	= 25
Niepokojczycka Irena	- /2/
Niepokojczycki	- 30, /1/
Okulicki	- 17
Owsiannikow /pułkownik/	= 38
Panikow /pułkownik/	- 45
Rabinowicz /partyzant radziecki/	- 18
Rabinowicz /ratownik górniczy/	- 32
Rachmaninow	= /9/
Rostkowska	= /14/
Różanowski /Jerzy/	- 30, 31, 48
Ruslanowa /Rosjanka/	- /17/
Satin	- /9/
Sieryj /NKWD, podpułkownik/	- 16
Sitko-Sitkiewicz	- 40, /16/
Stach /nazwisko nieznane/	- /25/
Staćzyk	- 18
Stefanowicz Edward	- 54
Suchocki /Hipolit/	- /17/
Szelking /Zbigniew/	- /12/
Szumski	- 11
Szapiro /Szypow Adam/	- 26, /18/
Szypow Adam /Szapiro/	- 26, /18/
Tarnowski Julian	- 28
Trocki	- 1

Tuchaczewski	- 26
Turski /inżynier/	- 54, /25/
Wasilewski /Ukrainiec, profesor/	- 43, /14/
Wierzbicka /lekarka/	- /26/
Wolski Jan	- 22, /22/
Wojcik Józef	- 30, /2/
Wyleżyńska	- 8
Wyszyński /prokurator/	- 45-48, /15/
Znowa /Ukrainiec, inżynier/	- 25
Zwierow	- 38, 39, /23/
Żukowski	- 7

I N D E K S G E O G R A F I C Z N Y

Alaska	- 29
Anglia	- 8
Bajkał /jezioro/	- /24/
Bankowa ulica /w Wilnie/	- 8
Barany	- 6
Berlin	- 26, /18/
Białystok	- 7
Buchta Wanino /port/	- 50
Bug /rzeka/	- 4
Chabarowsk	- /30/
Chełm	- 4
Częstochowa	- 35
Długie /jezioro/	- /3/
Donbas	- 32
Dowgunowa	- 5
Drezno	- /17/
Drohuzko	- 4
Dudzinka /D/	- 22, 49
Estonia	- 27
fabryka numer 25	- 33
Gorstroj	- 31, 41
Grodno	- 1A, /17/
Hel	- 6
huta selenu /numer 76/	- 34
huta uranu /numer 25/	- 33, 34
Izwiestkowy /D, obóz/	- /12/
Jagodnoje	- /24/

Jenisiej	- 49, /6,7/
Kawargon /0, obóz karny/	- /4/
Kijów	- /9/
Kołyma	- 28, 50-55, /24-30/
kopalnia numer 12	- 32
Kraków	- 30
Kronszadt	- 1
"Kupiec" /obóz/	- 48
Leningrad	- 27, /12/
Lida	- 5
Lwów	- 56
Łana /jezioro/	- /5/
Łukiszki /W/	- 19
Magadan	- 50, /24-30/
Maikinia	- 6
Miedstroj	- 31, 37
Mołodeczno	- 15
Mołotowsk /0/	- 20
Moskwa	- 16, 33, /17/
Norylsk	- 23-49, 54, /1-23/
Noryłka /rzeka/	- /7/
Nowa Wilejka	- 19
Ob /rzeka/	- /7/
obóz numer 2 /0/	- 25, /12/
obóz 3-6 /0/	- 23
obóz numer 4 /0/	- /15/
obóz numer 5	- 37, 41, 42
obóz oficerów radzieckich	- 44
Ochockie Morze	- /1/
Orotukan	- /24/

Oszmiana	- 42
Petersburg	- 1
Ponary	- 19
Roztocze	- 2
Równe	- 5
Rudnicka Puszcza	- 11
Rudnik 3-6 /kopalnia 3-6/	- 23, /7, 14/
Ruska Puszcza	- 11
Rzym	- /9/
Samarkanda	- 26
San /rzeka/	- 3
Schmidta Góra	- 23
Sopot /rzeka/	- 3
Sporny	- /25/
Suwałki /powiat/	- 1
Utinnyj Stan	- 51, /25/
Warszawa	- 1A-16
Waszyngton	- 26, /16/
Wigry	- 1
Wilna	- 1A, 54, /15/
Złota ulica /w Warszawie, numer 10/	- 15
Zub-Góra /Góra łab/	- /4/

* * *